

KATARZYNA > CATY < RYRYCH

# PAMIĘTNIK BABUNI



Mew

Mew

Mew

Mew

Mew...

Mew

Mew

Mew

Mew...







**BABUNIA** – zdjęcie ze świetlicy

*(następne zdjęcia i tekst na końcu)*

© Copyright by Katarzyna Ryrych

Korekta: Dorota Reczyńska (Dorota), Agnieszka Hejenkowska (Igulec), Anna Frankowska (redaf)  
Podziękowania dla Katarzyny Gołębiowskiej (aisak) i Anny Kolber (Frankie)

Na okładce wykorzystano zdjęcia  
ze Schroniska dla Zwierząt w Mielcu oraz strony [www.forum.miau.pl](http://www.forum.miau.pl)

Projekt okładki i opracowanie graficzne: Łukasz Buchała

ISBN: **83-7490-023-7**

Wydawnictwo  
Towarzystwo Słowaków w Polsce  
ul. św. Filipa 7, 31-150 Kraków  
tel.: (012) 634-11-27, DTP (012) 633-09-41  
e-mail: [zg@tsp.org.pl](mailto:zg@tsp.org.pl)  
[www.tsp.org.pl](http://www.tsp.org.pl)

# TO

Miejsce, które niedawno opuściłam nazywano czasami Świątlicą. O ile wiem, w języku Ludzi oznacza to miejsce, gdzie jest ich dużo naraz. To by się zgadzało. Gdyby komuś z Was udało się unieść do góry i spojrzeć w dół z wysokości sufitu zobaczyłby na ziemi kolorowy Dywan. Szary, bury, rudy, czarny, biały, ciepły i puszysty. Tylu nas śpi obok siebie tam, na dole.

Sierść Dywanu delikatnie faluje, unosi się i opada. A ja – leżę i marzę. Tak. My, koty, potrafimy marzyć. Pewnie, że nie są to takie skomplikowane marzenia jak Wasze. Na przykład ja – zamykam oczy – ale nie zasypiam – i myślę, jakby to było, gdyby sfilcowany koc pod moim brzuchem był kolanami Mojej Pani. I już pazurki same zaczynają delikatnie wbijać się w ten biedny koc. Otwieram oczy i widzę, że ci inni obok mnie robią to samo. Nasze mruczenie jest jak delikatny poszum. Dziś powiedziałabym „poszum morza”, ale wtedy jeszcze nie wiedziałam, co to jest „morze”.



Leżę. Moje ciało rozluźnia się, oddycham równo z tym otaczającym mnie szumem. Łapy pracują dalej – ładne, delikatne łapy o mocnych pazurkach. Łapy młodej kotki, ale nie dajcie się zwieść. Jestem stara. Być może dlatego wiem, czym jest TO. TO jest trudne – wiedzieć. Często wołałabym, żeby tak nie było, ale nic nie mogę poradzić. To wiele razy krążyło wokół mnie. Syczałam na niewidzialnego wroga, wyginałam grzbiet, jeżyłam sierść. Może dlatego TO odchodziło. Może inni po prostu nie wiedzieli jak TO przegonić?

Kiedy zamieszkała z nami Zielonooka TO było już przy niej, ale nie wiedziała o nim. Patrzyła tymi swoimi pięknymi oczyma, trochę zdziwiona, że z ciepłego, bezpiecznego

domu przywieziono ją tutaj, uśmiechała się wdzięcznie i odzywała rzadko. Ale kiedy przychodził jakiś człowiek wydawała z siebie takie ciche, słodkie mruknięcie. W końcu wymruczała sobie Dom. Widziałam ją w ramionach ciemnowłosej Dużej, szczęśliwą, roześmianą. Jej oczy przypominały błyszczące radością zielone szkiełka, I tylko ja wiedziałam, że TO poszło za nią.

Albo Gaduła. Zwinny, czarny, ciągle coś opowiadał i nawet nie zwracał uwagi na to, że mało kto go chciał słuchać. Zaczynał dzień od gadania, przespisał południe, a potem znowu gadał. Gadał, pomimo tego, że w pyszczku zbierała mu się ślina. Przełykał ją, odkasliwał i wracał do swej opowieści. Gadał nawet wtedy, kiedy już bardzo przeszkadzał mu kaszel. Wypijał odrobinę wody z miski i gadał, jakby chciał zagadać swój strach przed Tym. Dzień przed odejściem podszedł do mnie a TO wyglądało z jego żółtych oczu. Miałam ochotę wymyć mu pyszczek i uporządkować uszy, ale coś w środku mnie ostrzegało, żeby tego nie robić. Więc trochę zakłopotany pokręcił się przy mnie i wrócił do swojego kącika. Naprawdę nie mogłam pójść za nim. Duzi mówią o tym „instykt”. Sama nie wiem, dlaczego słuchamy tego Wewnętrzznego Głosu. Wiem, że gdybyśmy przestali – musielibyśmy odejść za Tęczowy Most.

Gdybyście nie wiedzieli – to jest takie miejsce, gdzie zawsze ma się Dom. Gdzie nigdy nie jest się głodnym, zmarzniętym ani obolałym. Tutaj, gdzie jestem, gdzie leżę i marzę jest dom, jest miska i jest ciepło. Ale to na pewno nie Tęczowy Most, bo bolą mnie zęby – a przecież miało nic nie boleć.

Słyszałam o takich, którzy potrafili przestać słuchać tego Głosu i odejść – podobno wsadzali pyszczki do misek z wodą.

Rano, kiedy otworzyłam oczy, w kąciku Gaduły było cicho, I pusto.

# LATAJĄCY DYWAN

Jest tak, jak już wspomniałam – gdybyście spojrzeli na nas z góry, zobaczylibyście kolorowy dywan, unoszony mruzeniem. Dlaczego – „unoszony”?

– Czarodziejski dywan. – Powiedziała kiedyś Duża, która kocha nas wszystkich. Kiedy napotkała moje pytające spojrzenie, dodała – Czarodziejskie dywany potrafią latać.

Tego wieczoru, kiedy zamknęłam oczy razem z Dywanem unieśliśmy się do góry. Dywan mrużąc leciał nad śpiącym miastem. A my widzieliśmy dachy domów, ulice, łąki. Inne koty, skradające się działkowymi ogródkami, koty siedzące na dachach nieruchome jak posążki, koty na parapetach okien wpatrzone w noc. Widzieliśmy ludzi z kotami na kolanach. Koty śpiące na fotelach, i te siedzące przy kominkach. Widzieliśmy koty na autostradach. Koty, których oczy jeszcze nie zaszyły mgłą i odbijały światła wymijających je samochodów jak małe żółto-zielone lusterka.

Widzieliśmy kocie matki wędrujące w trawie i te, które powracały z łowów. Widzieliśmy kocięta wtulone w siebie, czekające na powrót matek. A potem Dywan opadł na podłogę świetlicy tak delikatnie, że nikt się nie obudził, a i ja sama też nie wiedziałam, czy to był sen, czy nie...

Czymkolwiek jednak to było – Latający Dywan uświadomił mi, że na mój własny Dom jest już chyba ciut za późno. Ta myśl przejęła mnie smutkiem, coś boleśnie ścisnęło w gardle, gdy pomyślałam o palcach drapiących mnie pod brodą, o ciepłych kolanach. Otworzyłam oczy i zobaczyłam, że Mrużek znowu ułożył się na moim ogonie. Jak najdelikatniej odsunęłam się na bok, ale i tak się zbudził.

– Czy tobie też?... – zaczął i urwał.

Kiwnęłam głową i pozwoliłam, żeby przysunął się bliżej. Usnął od razu, jak to młody kot, a ja pomyślałam o moich Dzieciach, które pewnie już miały swoje dzieci, o ile nie wnuki i nagle ogarnął mnie strach, czy na pewno wszystkie mają swoje Domy? Czy któreś z nich jest wśród tych, którzy gdzieś w innych Świetlicach śpią na Dywanie? Moje piękne Dzieci... Bo Musicie wiedzieć, że byłam dobrą matką. No i rzecz jasna – moje Dzieci były najpiękniejsze na świecie.

Odwrociłam głowę i spojrzałam na Mruczka, na jego rdzawo-brązowy nos, jaki zwykle mają pręgowane koty i może sprawiły to wspomnienia, a może... Delikatnie polizałam ten nos, Mruczek zachrypiął z radości, ale się nie obudził. Za to jego łapy zaczęły miarowo ugniatać coś niewidzialnego.

Tej nocy przyśnił mi się Gaduła. Biegał razem z Zielonooką po pięknej łące, łapał koniki polne i motyle. Łąka była tak samo zielona tak, jak oczy Zielonookiej. Chciałam podbiec do nich, wytarzać się w trawie, ale między mną a łąką była jakaś niewidzialna zapora.

## ***ILE KOSZTUJE DOM?***

Następnego dnia przyjechała Tarnobrzeska. Nie wiem, jak naprawdę miała na imię, ale tak powiedziała Duża Jasnowłosa:

– To jest Tarnobrzeska.

Tarnobrzeska była czarno-biała. Miała jedno, czarniutkie Dziecko i nie miała lewej, przedniej łapki, ale mimo to była zwinna i elegancka. Zamiauczała coś na powitanie i zajęła się Dzieckiem. Wymieniłyśmy spojrzenia.

– Miałam ich czworo – powiedziała, zwinęła się w kłębek i przyknęła oczy.

Podeszłam bliżej. Syknęła ostrzegawczo, a czarny maluch zjeżył cienki jak patyczek ogonek i bezgłośnie otworzył różowy pyszczek.

– To jest Babunia – odezwała się buro-biała kotka, Magda, która mimo, że była młodsza ode mnie, spędziła całe swoje życie w Świetlicy.

Magda w dzień zajmowała belkę pod sufitem. Do reszty rzadko się zbliżała, ale za to, gdy w pobliżu pojawiał się Człowiek wybiegała na spotkanie z uniesionym do góry ogonem.

– To Babunia, – powtórzyła, a nowa przyjrzała mi się uważnie. Dla pewności zagarnęła malucha łapką i trochę nerwowo zaczęła wylizywać mu brzuszek.

– Ładny malec – zamruczałam, a ona uśmiechnęła się nieśmiało. Usiadłam obok. Blisko, ale nie za blisko.

– Miałś dużo Dzieci? – zapytała.

Skinęłam głową. Moje wszystkie Dzieci były szare i pręgowane, tak, jak Mruczek. Ale Mruczek na pewno nie był moim dzieckiem. Mój nos powiedziałby mi o tym. Zresztą, sądząc po jego wieku, przyszedł na świat, kiedy byłam już tutaj. Nie mógł być też chyba moim wnukiem, bo jak twierdził, przyjechał z bardzo daleka. Nie wiem, gdzie było to Daleko, ale Mruczek ciągle szukał mojego towarzystwa, a w nocy przysuwał się tak blisko, że zawsze przygniatał mi ogon. Mruczek czekał na wyjazd do Domu. Rozpierała go energia, bawił się wszystkim, co mu się nawinęło. Moim ogonem też próbował, ale trzepnęłam go w ucho i przestał.

Wszyscy rozpytywali o ten mruzkowy Dom, a on ciągle odpowiadał, że czeka na Transport. Transport – gdybyście nie wiedzieli – to jest coś takiego, co nas zabiera do Domu. Podobno Mruczek miał jechać bardzo daleko i wszyscy strasznie się z nim cackali. Ciągle łykał jakieś małe kolorowe kuleczki. Tylko ja i paru innych wiedzieliśmy, że to Lekarstwa, na robale i takie tam inne. I noszono go na Badania. Tyle zachodu dokoła jednego kociaka...

Ale nie powiem, wszystkich nas to bardzo cieszyło. Bo niby, dlaczego miałoby być inaczej? Dlaczego mielibyśmy zazdrościć? Każdy przecież po cichu marzył o własnym Domu i kiedy któryś z nas opuszczał Świetlicę nadzieja mocniej rozpałała się w tych, co zostawali.

No, może tylko ogromne Czekoladowe Kocisko, które przychodziło z Tamtej Strony, wyjadało to, co zostawało na miskach, wskakiwało na okno Świetlicy, wykrzywiło kwaśno pysk i mówiło same brzydkie rzeczy.

W dniu, kiedy Mruczek dowiedział się, że ma dom, Kocisko siedziało na parapecie i patrzyło, jak Mruczek turla się po podłodze i goni za własnym ogonem. Przysunęło pysk do szyby i zasyczało.

– A ty wiesz, ile kosztuje wyjazd do domu? Mruczek usiadł i poruszył uszkami.

– Kosztuje?

– No. Co dajesz za Dom?

– To chyba Duży? – pisnął.

Czekoladowe Kocisko odwróciło się tyłem i prychnęło.

– Dajesz dwa jajka! -

I dało susa w krzaki. Po drugiej stronie siatki rozszczękały się Psy.

Mruczek zwrócił się w moją stronę.

– Jakie jajka? – wytrzeszczył ze zdumienia ślepką.

Zrobiło mi się głupio. Ten Mruczek. Pytać Starą Kotkę o takie rzeczy...

Ale oczywiście nikt nie kwapił się z wyjaśnieniami.

– No wiesz, orzeszki... czy te tam... pomponiki... – Zamruczałam najdelikatniej jak umiałam, ale oczywiście nie zrozumiał. – No... te tam... z tyłu. Po to, żeby nie było więcej nas bezdomnych.

– To ma coś wspólnego z wiosną? – zapytał. Kiwnęłam głową.

– I oni je tak... no, wiesz? – Mordka Mruczka niebezpiecznie się wydłużyła.

– No tak – powiedziałam. – Ale to nic nie boli.

– Chyba, że tak – zgodził się i wrócił do zabawy. Położyłam się wygodnie tak, aby móc śledzić jego radosne podskoki.

Tarnobrzaska dalej myła swoje najedzone do syta Dziecko.

Żeby nie było nas więcej bezdomnych.

# WIRTUALNI

Wirtualni – gdybyście nie wiedzieli – to tacy, którzy są, chociaż ich nie ma, albo na odwrót – tacy, których nie ma, a jednak są. Duża Jasnowłosa tłumaczy to tak. – To są ci, którzy nie mogą zabrać was do Domu, ale bardzo was kochają.

W Świetlicy Wirtualni tworzyli osobną grupę. Nie żeby zadzierali nosa, albo siedzieli we własnym towarzystwie. Dzięki nim pojawiały się kolorowe miseczki i zabawki – przeważnie piłeczki i myszki z futerka. Bo do Wirtualnych przychodziły paczki, ale jedzenie z tych paczek dzielono równo między nas wszystkich.

Często robiono im zdjęcia – bo ich Duży chcieli wiedzieć o nich wszystko, tak, jakby mieli ich obok siebie. Jak wyglądają, kiedy śpią, a jak kiedy jedzą? Czy już przestały im ropieć oczy? Czy skończył się katar? Czy nie chrypi w oskrzelach? Podobno Wirtualni zaczynają dzień od szukania w jakiejś Sieci wiadomości o swoich podopiecznych.

Trzeba przyznać, że dzięki nim inni też znajdują Domy. Czasami Duża robi Wirtualnym zdjęcia w Świetlicy żeby pokazać, jak dobrze dogadują się z innymi kotami. Może wtedy któryś z nas, schroniskowych, rzuci się komuś w oczy? Więc staramy się, a właściwie to Duża się stara, żeby na tych zdjęciach było nas jak najwięcej.

O tym, że Mruczek jest Wirtualny dowiedziałam się pewnego ranka, kiedy przybiegł do mnie podrzucając futrzaną myszkę. Rzucił ją prosto pod moje łapki – łapki młodej kotki i spojrział z wyczekiwaniem. A moje łapy same się rwały do tej myszy – tak bardzo przypominała prawdziwą. Pomyślałam o kwaśnym zapachu mysich nor, o krecich kopcach na łące, skoczyłam na tę myszkę z samego środka moich wspomnień, podrzuciłam do góry i pokazałam Mruczkowi wszystko, co można było z nią robić – turlać, przyniatać, rzucać. Tak się zapamiętałam w zabawie, że nie zauważyłam nawet, kiedy weszła Duża Jasnowłosa.

– No, no. Babuniu, – powiedziała. – Jesteś w świetnej formie. Z tą formą jednak trochę przesadziła, bo odrobinę się zdyszałam, a od chwytania myszki w pyszczek znowu rozbolały mnie zęby. Duża schyliła się i obejrzała moją buzię.

– Trzeba będzie te ząbki usunąć... – powiedziała tak trochę do siebie, a trochę do mnie.

I tak straciłam zęby. Może właśnie dlatego, zawsze kiedy myślę o Wirtualnych czuję się tak jakoś... staro?

Usuwanie zębów nie bolało, ale za to potem trudno było jeść. Na szczęście Duża przynosiła jakieś papki i dzięki temu nie został ze mnie wiórek, chociaż troszkę zapadły mi się boki. Po paru dniach ból minął i okazało się, że język całkiem nieźle radzi sobie z małymi, miękkimi kawałeczkami mięsa. Po takim połykanym posiłku czułam się trochę ociężała, ale wszystko miało po krótkiej drzemce.

Wirtualny był również Filet, kolega Mruczka. Naprawdę miał na imię Fiolet, zdrowiale od Fioleciarz, bo łutki na jego futerku były tak szare, że aż niebieskie, ale jego Wirtualny zgubił jedną literkę i tak już zostało – Filet.

Filet też miał myszkę i razem z Mruczkiem polowali na nią. Pewnego wieczoru porwał ją Mruczcewi sprzed nosa i uciekł na belkę pod sufitem. Skoczył, ale tak niešťęśliwie, że spadł mi na plecy. Zasyczałam, a Filet aż skulił się ze strachu.

– Nie bój się Filet! – pisał Mruczek – Babunia nie ma zębów!

Gdyby to powiedziało Czekoladowe Kocisko, udałabym, że nie dosłyszę. Ale Mruczek?

Oblizałam łapkę i odeszłam do swojego kącika. Mruczek i Filet jakoś dziwnie przychlichli.

Zamknęłam oczy, ale koc nie chciał się zamienić w kolana Pani i zrobiło się całkiem beznadziejnie. Oblizałam nos i zwinęłam się w kłębek. Sen nie nadchodził. Kto weźmie starą kotkę bez zębów? – pomyślałam. Z ośpienia wyrwało mnie delikatne liźnięcie.

– Babuniu! – szepnął Mruczek. – Ja nie chciałem...  
– Nic się nie stało – zamruczałam.  
Nagle dotarło do mnie, że Mruczek w każdej chwili może pojechać do Domu.  
Tej nocy długo myśliśmy sobie pyszczki i uszy...

## **SĄ I JAŚNIEJSZE DNI**

...Lubiłam ręce Dużej Jasnowłosej. Dobre, ciepłe, delikatne – ale stanowcze. Nawet, jeśli coś bolało, to jej ręce nie sprawiały więcej bólu, niż to było konieczne. Tego ranka obejrzała mój pyszczek i pogłaskała mnie pod brodą. Powiedziała, że jestem bardzo dzielna i że wszystko jest już w porządku, a potem posadziła mnie na oknie. Uśmiechała się przy tym miło do wszystkich. Kto tylko mógł wywijał wokół jej nóg ósemki, ocierał się pyszczkiem, albo czekał na swoją kolejkę z ogonem na baczność. Tak więc koło nóg Dużej zebrał się cały Dywan.

– No, Babuniu – powiedziała Duża. – Będzie sesja zdjęciowa.

Serce załomotało mi gwałtownie. Wiedziałam, że zdjęcia robi się tym, którzy mają największe szansę na Dom. Ale nigdy, przenigdy, nawet przez myśl mi nie przeszło, że mogę i ja...

Siedziałam i cały czas myślałam o tym, żeby wyglądać jak najładniej. Zacisnęłam mocno pyszczek, żeby nikt nie zorientował się, że nie mam zębów. Staralam się trzymać oczy szeroko otwarte, chociaż oślepiało mnie jakieś światełko. Duża popatrzyła w okienko aparatu i pokręciła głową.

– Nie. Nie. Nie i jeszcze raz nie. Co się z tobą dzieje, Babuniu?

Wzięła mnie na ręce i poprosiła drugą Dużą. Ładnie ułożyła moje łapki na rękawie swojego swetra i zrobiono nam zdjęcie.

– Będziemy ci szukać Domu – powiedziała, a moje serce znowu załomotało.

Tego dnia Duża Jasnowłosa siedziała z nami dłużej niż zwykle. Głaskała, czesała, obcinała pazurki. Widocznie to była Niedziela – taki dzień, kiedy Duzi mają dużo czasu. Dopóki nie znalazłam się w Świetlicy nie rozumiałam, co to jest czas. A to przecież było takie proste.

Czas to były te długie przedpołudnia z Dużą, miski napelniane karmą, wymieniany Piasek, otwierane okno.

To były spacerunki po podwórzu, które zostało tak ubite naszymi łapkami, że nie rosła na nim żadna, nawet najmniejsza trawka. Przy siatce – to co innego, tam była trawa, ale po drugiej stronie mieszkały Psy. Psy znowu nie były wcale aż takie złe, były raczej smutne i ożywiały się tylko na widok ludzi.

Ale trawa pod siatką, niestety, pachniała Psami.

Latem przez uchylone okno świetlicy wpadał zapach siana, albo mokrej od deszczu ziemi, zapach koszonej trawy. Słychać było ptaki, wiatr, szelest liści i kroki przechodzących ludzi. Wtedy powracały do mnie jakieś odległe obrazy – to też był czas – zapach futerka moich Dzieci, ich tajemnicze buzie z mocno zaciśniętymi oczyma.

Czas to były też niekończące się długie wieczory, kiedy za oknem padał deszcz albo śnieg. Śnieg poznawaliśmy po tym, że za oknami robiło się bardzo cicho i bardzo jasno. No i w Świetlicy było chłodniej niż zwykle. Wtedy przysuwaliśmy się blisko i ogrzewaliśmy się nawzajem.

Czas to były śpiewy innych kotów za oknami, odgłosy walki i nawoływania w mroku.

Czas – to była pora podrzucanych kociąt. Wprawdzie nie mieszkały z nami, ale słyszeliśmy ich popiskiwanie w koszykach, kiedy Ludzie zabierali je do siebie – tutaj łatwo było o katar, albo o coś jeszcze gorszego. Dlaczego Tarnobrzeskiej zostawiono jej Dziecko nie wiedział nikt, ale to było wielkie wydarzenie.

Oszołomiona zdjęciami, przyplływem nadziei, zaskoczona wieścią, że i ja mogę mieć Dom przymknęłam oczy, aby trochę ochłonać. Wtedy podeszła do mnie Tarnobrzeska. Podeszła zgrabnie i cicho, chociaż miała tylko trzy łapki.

– Przepraszam! – powiedziała. – Gdzie tu jest Piasek?

Ruchem głowy wskazałam jej miejsce. Zawahała się i spojrzała na Dziecko. Jeszcze raz popatrzyła na mnie. Przeciagle, pytająco. Poruszyłam wąsikami. A wtedy ostrożnie, powoli ujęła Dziecko za aksamitną skórkę na karczku i położyła je przy mnie. Patrzyłam, jak idzie w stronę Piasku oglądając się co chwilę.

Dziecko otworzyło różowy pyszczek i wybuchnęło głośną skargą. Przycisnęłam je mocno łapą, jak to robiłam dawno temu ze swoimi Dziećmi i zaczęłam mocno wylizywać. Płacz ucichł i przeszedł w cichutkie pomrukiwanie. Kiedy Tarnobrzeska wróciła było już zupełnie spokojne, ale i tak z wyraźnym zadowoleniem poczołgało się w stronę matki.

– A... tamte? – zapytałam.

– Katar – odpowiedziała i wtuliła nos w futro Dziecka.

Przysunęłam się bliżej. Teraz Dziecko znalazło się między nami, jak w środku ciepłego gniazda.

Tak zaprzyjaźniłam się z Tarnobrzeską.

## **RĘCZNIK**

Od czasu, kiedy zrobiono te zdjęcia zaczęłam spać bardzo czujnie. Każdy szelest stawał mnie na nogi. Wydawało mi się, że nadchodzi mój własny człowiek żeby zabrać mnie do Domu.

Więc kiedy Duża weszła na palcach do świetlicy też się obudziłam.

Duża coś niosła w ramionach, coś owiniętego w niebieski ręcznik. Cicho zagadywała, układając to coś w koszyku. Potem pogłaskała Ręcznik i wyszła. Ręcznik chwilę szukał sobie miejsca, po czym głęboko westchnął i usnął.

– Nowy – pomyślałam i zapadłam w płytki sen. W tym śnie był fotel i jakieś ciepłe ręce i w ogóle wszystko to, co śniło mi się od pewnego czasu.

Już – już zapadałam się po uszy w to ciepło, gdy przerwał mi cichy, monotony dźwięk

– Boliboliboliboliboli...

Otworzyłam oczy. Ręcznik spał niespokojnie pojękując przez sen. Najciszej jak umiałam, żeby nie zbudzić Dziecka Tarnobrzeskiej wstałam i podeszłam do koszyka, a jako, że nie było najmniejszego śladu że w pobliżu jest TO, obwąchałam koszyk i ręcznik i polizałam wystające spod niego ucho.

– Boliboliboliboli... – odpowiedział Ręcznik i wysunął głowę. Śliczną, trójkolorową, o wielkich, smutnych oczach.

Przysiadłam cichutko obok.

– Co cię boli? – zapytałam.

– Mój ogonek – odpowiedział Ręcznik. – Był złamany. Duży mi go złamał.

– Jak to, złamał? – zapytałam z niedowierzaniem. Wiedziałam, że okrutne potrafią być dzieci i obcy ludzie. Ale żeby Duży? Nawet nie miałam odwagi zapytać, jak to się stało, ale po chwili Ręcznik sam zaczął mówić.

– Nie wymienili mi żwirku – opowiadał. – No i było tak brudno, że... że nie dało się tam wejść. A potem Duży chwycił mnie za kark i wyrzucił za drzwi. Płakałam, więc wybiegł i zaczął bić... i nastąpił na ogonek. A potem zabrali mnie gdzieś, gdzie bolało. Powiedz – gdzie jestem?

Polizałam jego drugie ucho.

– Jesteś w Świetlicy. To jest dobre miejsce. Tu nikt nikogo nie bije...

Ręcznik trochę niepewnie wstał. Dopiero wtedy zobaczyłam, jaki jest piękny. Biało-brązowo-rudy, jak malowany.

– No, – powiedziałam – nie zostaniesz tu długo... jesteś taki śliczny...

Ręcznik zasmucił się. – Wiem, że jestem ładny... Tak mi przynajmniej mówili, ale...

Urwał i położył się z wyraźnym trudem. Wiedziałam, co chciał powiedzieć. W naszym świecie uroda nie chroni przed złem.

– Posiedzisz tu przy mnie? – spytał ostrożnie układając ogonek.

– Posiedzę. – Położyłam się opierając pyszczek o jego śliczne łapki i myślałam o wszystkich – ładnych i brzydkich, którzy przewinęli się przez Świetlicę.

– Boliboliboliboli... – Nowy przez sen wznowił swoją skargę.

Delikatnie polizałam jego plecy, aż skarga przeszła w mruczenie. Położyłam się wygodnie obok i wsłuchałam w oddech śpiących. Słyszałam chrapanie Mruczka, posapywanie Dziecka Tarnobrzeszkiej. Cały Dywan spał, a ja nie. Ręcznik przestał pojękiwać i mrużyć, więc wstałam sprawdzić, czy nie dzieje się nic złego, ale spał twardo, mocno. Rozejrzałam się uważnie, kilka razy mocno wciągnęłam w nozdrza powietrze, żeby sprawdzić czy gdzieś nie czai się TO. Nic nie wyczułam, ale na wszelki wypadek postanowiłam nie ruszać się z miejsca.

Słyszałam jak deszcz bębni o parapet i jak po drugiej stronie siatki poszczekiwały Psy. Psy były bardziej popularne od nas. Myślę, że lepiej dogadywały się z ludźmi, niż my – bo trzeba dużo czasu, aby nauczyć się naszej mowy. Duża Jasnowłosa ją rozumie, bo kiedy rano weszła do świetlicy spojrzała na mnie i na Ręcznik i uśmiechnęła się. Przykucnęła przy koszyku i ostrożnie pogłaskała kolorową główkę.

– No i jak było pod opieką Babuni? – spytała, a Ręcznik otarł się o jej dłoń policzkiem.

– Nasza Babunia ma złote serduszko – powiedziała, a to moje złote serduszko zabiło ze szczęścia.

– Ktoś, z kim zamieszka, dostanie prawdziwy skarb!

– A ty... – zwróciła się do Ręcznika. – Dojdiesz do siebie już w Domu. Na dźwięk tego słowa Ręcznik skulił się i zadrżał.

– W innym Domu – powiedziała. – Tam nikt nie będzie cię bił, tylko bardzo kochał.

Ręcznik spojrzał na mnie.

– Już nie boli! – szepnął.

Duża jeszcze raz pogłaskała nas oboje.

– No i co my zrobimy, Babuniu, gdy pójdziesz do swojego Domu?

Delikatnie uniosła koszyk i uśmiechnęła się.

– Do widzenia, Babuniu! – zamruczał Ręcznik.

Kiedy wyszli zrobiło mi się trochę smutno, a trochę wesoło. Opieka starej kotki to jednak nie to samo, co Dom.

Wskoczyłam na okno akurat w chwili, gdy nadjechał samochód. Nie wiem, jak długo siedziałam na parapecie. Nagle poczułam, że nie jestem sama. Tuż obok usiedli Mruczek i Filet z nosami wlepionymi w szybę.

– Idą! – wrzasnął Filet tak głośno, że aż podskoczyłam.

A w stronę samochodu szedł cały orszak, który otwierała, jak zwykle, Magda, a zamykała Duża z koszykiem w ramionach.

– Jak on wyglądał? – zapytał Mruczek, gdy samochód odjechał.

– Był bardzo miły – odpowiedziałam.

Tu, w Święcicy nigdy nie używamy takich słów jak „piękny”, czy „ładny”. Nie wolno odbierać nadziei tym, którzy niczym specjalnym nie wyróżniają się z tłumu.

## ***STARA FUTRZANA CZAPKA***

Nie powiedziałam Warn jeszcze czegoś. To, że jestem stara już wiecie. No i niestety nie jestem wolna od uciążliwych przywar mojego wieku. Brak zębów to najmniejszy problem, ale jeszcze ta przykra sztywność grzbietu rano i nadwrażliwość na zimno... kiedy łapki są sztywne i trochę zmarznięte, a ogon ścierpnięty...no naprawdę już nie wiem, dlaczego Mruczek tak uparcie układa się na moim ogonie, skoro najwyczejniej w świecie mógłby się przytulić. No, więc, kiedy powarkując z irytacji idę w stronę Piasku i widzę, że znowu ktoś go rozsypał robię się naprawdę złą!

A Piasek ktoś rozsypywał od kilku dni. Na dodatek od tych kilku dni na dworze padał deszcz i było zimno, a w nocy nie mogłam spać, bo Dziecko Tarnobrzeszkiej nagle

zaczynało się bawić. To chyba jasne, że moje samopoczucie nie było najlepsze. Postanowiłam, że dowiem się, kto jest sprawcą bałaganu i zrobię z tym porządek. W końcu Duża nie może być we wszystkich miejscach naraz, a co ja lepszego – prócz zabawy z Mruczkiem i Dzieckiem Tarnobrzeskiej – miałam do roboty?

Ten dzień był jeszcze bardziej mokry i chłodny niż poprzednie. Postanowiłam więc poświęcić go na obserwacje. Wdrapałam się na tę samą belkę, z której Filet spadł mi na plecy i obrzuciłam wzrokiem całą Świetlicę.

Najpierw przyszła Duża, wymieniła Piasek i zamiotła podłogę a potem poszukała kogoś wzrokiem.

Chyba chodziło jej o kartonowe pudełko w ciemnym kącie świetlicy, w którym leżała stara futrzana czapka. Kiedy Duża poszła, Stara Futrzana Czapka podniosła się z pudełka i poczłapała wzdłuż ściany w stronę Piasku. Byłam prawie pewna, że to ona go rozsypuje. Nie myliłam się.

Stara Futrzana Czapka zupełnie nie zwracając uwagi na to, jaki zrobiła bałagan, wróciła do pudełka.

– Ach, ty... – syknęłam cichutko i zeskoczyłam z belki.

Ten skok mi trochę nie wyszedł i trochę uraziłam się w łapę. Postanowiłam więc, że kiedy indziej rozprawię się z bałaganiarą, ale przez cały dzień bardzo uważnie obserwowałam tamten kąt Świetlicy. Czapka trochę spała, trochę porządkowała sobie futro, trochę podjadała z miseczeki, którą Duża nie wiadomo dlaczego postawiła obok jej pudełka.

Tego dnia, jeszcze trzykrotnie Stara Futrzana Czapka wędrowała do Piasku tą samą trasą i za każdym razem zostawiała bałagan. Ale kiedy prawie przemaszerowała po Dziecku Tarnobrzeskiej, które właśnie uczyło się Czystości – nie wytrzymałam. Zagrodziłam jej drogę z nastroszonym ogonem i płasko położonymi uszami. Próbowała mnie zignorować i przejść obok. To znaczy – przycisnęła się do ściany i trochę szybciej sunęła w stronę swego legowiska.

– Ej, ty! – zasyczałam. – Jestem Babunia i pilnuję tu porządku.

– Wiem – odpowiedziała Czapka. – Duża mówiła mi o tobie. Pachniesz złością...

– Pachnę złością, bo jestem zła! – wrzasnęłam. – Jestem zła, bo rozsypujesz Piasek i nie patrzysz jak chodzisz!

Czapka przysiadła i zobaczyłam w jej oczach swoje odbicie – starą, złą kotkę.

– Nie patrzę, bo nie widzę – powiedziała cichutko. – Nie wiedziałam, że robię tu bałagan.

Zrobiło mi się głupio. Gdybym była człowiekiem, pewnie zaczerwieniłabym się ze wstydu po same uszy. No tak, powinnam była odgadnąć. Dlatego nie przeszkadzał jej ciemny ką i dlatego uparcie maszerowała zawsze tą samą trasą.

– To ja przepraszam! – powiedziałam. – Zmyliłaś mnie...

– Zawsze chodzę w ten sposób. Najpierw uczę się drogi na pamięć, a potem już wszystko jest proste.

Pomyślałam, że musi być jej smutno samej w tym ciemnym kącie.

– Taka się już urodziłam – wyjaśniła. – Dlatego mój nos, moje wąsiki i łapki patrzą na mnie. Zapamiętuję, po czym idę i jak pachnie droga. Ale na nowym miejscu trochę się gubię.

Trąciłam ją nosem. Zaczęła intensywnie wachać moje futerko.

– Kociak... – zamruczała – I jeszcze jeden, większy... Jedzenie... Spokój...

– Moje futerko jest białe i mam szare łaty – powiedziałam.

– Nie wiem co to „białe”, ani co to „szare”. Przecież nigdy nie widziałam...

Oblizalam jej drobną, ślepą mordkę.

– Chodź do nas – zaprosiłam. – Trzeba zrobić coś z twoim futrem.

Na widok Czapki Tarnobrzeska trochę się zjeżyła, a Dziecko trochę pofukało, ale wszystko im wytłumaczyłam. Futro zajęło nam sporo czasu. Czapka była drobna i chudziutka, można było policzyć jej wszystkie kostki. Potem wstała i przeciągnęła się.

– Pomóż mi wrócić do domu... To znaczy do pudełka – powiedziała.

Poszła za mną i od razu zwinęła się w kłębek.

– Będę mieć cię na oku! – obiecałam.

– Nie trzeba. Zapamiętałam drogę. Tylko wy nie zmieniajcie miejsca, proszę.

Kiedy wracałam do swojego kąta do Świątlicy weszła Duża. Spojrzała na mnie i na pudełko i poszła pozamiatać Piasek.

## ZAGINIONE IMIĘ

My, koty lubimy spać. Mówi się, że przesypiamy połowę życia – ale z tym się nie zgadzam. Może tak robią koty, które mają Dom i Wygodny Fotel, gdzie mogą spać. A jeśli na coś czekają – to na Dużych. Żeby już wrócili z pracy i usiedli na chwile, I żeby można było wtedy wejść im na kolana i trochę poudeptywać...

My, mieszkańcy Świetlicy znamy inne oczekiwanie. Czekamy na Dom. Dlatego nasz sen jest często płytki i męczący. Każdy krok, każdy szelest, każde stąpienie – to silniejsze uderzenie serca. To drgające w napięciu uszy i nastroszone wąsiki. A nasze sny są inne od waszych, ludzkich snów.

Często odchodzimy w nich daleko, w to, co było kiedyś i zdążyło już nieco zblednąć. ...Z takich snów budzimy się powoli, żeby nie uronić ani jednej odnalezionej chwili. Odwiedzamy dawne miejsca, zanurzamy się w odległe chwile szczęścia. A czasami od nowa, wbrew sobie – przeżywamy ból.

Mała, czarna kotka o futrze lśniącem jak lustro, została znaleziona na skraju wsi, przestraszona i głodna. Wpuszczona na Świetlicę biegała z kąta w kąt szukając swojej miseczki, dopóki nie zorientowała się, że jej tu nie znajdzie, i opadła z sił.

– Biedactwo... – miauknęła Tarnobrzeska i obwąchała jej pyszczek, – Mama? – zapytała kotka i zamilkła.

– Nie, nie mama – odpowiedziała moja przyjaciółka. – Ale nic się nie bój.

Czarna jednak zwinęła się w kłębek i zamknęła oczy.

Spojrzałam na Tarnobrzeską. A już mi się wydawało, że to będzie wyjątkowo szczęśliwy, piękny dzień. Stara Futrzana Czapeczka, która w międzyczasie dostała na imię Małgosia jechała do swojego Domu. Nie przypominała już w niczym żałosnego

kawałka futra. Dalej była chudziutka, ale jej sierść nabrała blasku, a ona sama poruszała się tak pewnie, że tylko bardzo uważny obserwator mógłby odkryć, że jest ślepa.

Kiedy Duża przyszła do świetlicy najpierw skierowała się w stronę nowej ciągle zwiniętej w obojętny kłębek i pogładziła ją po grzbiecie. Zmartwiona brakiem jakiegokolwiek reakcji podniosła czarną z podłogi i przytuliła do siebie. Kotka zwiślała jej z rąk jak szmaciana zabawka.

– Oj, niedobrze. – Powiedziała Duża.

Zabrała czarnulę ze świetlicy i wróciła po Małgosię. A Małgosia właśnie zmierzała w naszą stronę

– Jadę do Domu! – oznajmiła. Dotknęłam nosem jej nosa.

– Coś wiem! – powiedziała – Białe jest dobre.

Wzruszenie ścisnęło mi gardło.

– Bądź szczęśliwa. Czapeczko! – mruknęłam.

– Czapeczko? – zapytała.

– Kiedy tak leżałaś w tym pudle wyglądałaś jak stara, futrzana czapeczka.

– Do widzenia, Babuniu! – wymruczała już w ramionach Dużej. – Białe, to dobre!

Czarnulę przyniesiono z powrotem do Świetlicy dopiero wieczorem, osowiałą, smutną.

Duża położyła ją przy mnie.

– Jeśli ty nie pomożesz... – westchnęła. – To ja już sama nie wiem.

Wieczór ciągnął się w nieskończoność. Leżałam przytulona do czarnej kotki i mruczałam najdelikatniej, jak się dało. Długo trwało, zanim się odezwała.

– Oni... – szepnęła. – Nie znają mojego imienia... – Dadzą ci nowe – pocieszyłam ją.

– Ale to stare mi się podobało. Nie chcę nowego imienia. Nie chcę nowego Domu. Chcę wrócić do siebie.

Cichutko opowiedziała mi o swoim Domu. Domu z ogrodem, o ławeczce pod wiśnią. O piecu, na którym lubiła się wylegiwać, I o Dużej, z którą rozmawiała godzinami. O tym, jak pewnego dnia na wiosnę, kiedy Duża spała – Duży wpakował ją do samochodu i porzucił daleko od domu.

Mówiła, jak to jest, gdy wszystko jest obce, nowe i straszne. Gdy się czeka, czeka i czeka, ale nikt nie nadchodzi. Siedziała w trawie przez cały dzień, zbyt przerażona, żeby pójść dokądkolwiek, aż nagle, gdzieś w środku usłyszała znajomy Głos.

– Pokaż się Ludziom, idź do Ludzi! Idź, pokaż się!

Więc wstała i poszła w kierunku domów. Przywieziono ją tutaj, bezimienną.

– Nie znajdą tamtego Domu – martwiła się. – I moja Duża też mnie nie znajdzie. Ja wiem, że ona teraz na pewno płacze...

Co mogłam powiedzieć? Czarna kotka miała rację. O nas, kotach mówi się różne rzeczy – że potrafimy wrócić do domu z bardzo daleka, że mamy dziewięć istnień, że zawsze spadamy na cztery łapy. Jeśli to prawda – dlaczego tak wielu z nas nie potrafi odszukać zaginionego domu? Dlaczego łamiemy łapy spadając z wysoka? Dlaczego nasze ciało jest tak kruche?

Duża od tej kotki musiała być bardzo mądra, bo czarna mówiła takie rzeczy, z których wielu nawet ja nie rozumiałam.

– Imię to ja – mówiła. – Nie ma mnie, jeśli nie mam imienia. Nikt już się tak do mnie nie odezwie.

– Śpij, malutka! – powiedziałam, bo co innego mogłam powiedzieć. – Jutro będzie nowy dzień Nowy dzień to nowa nadzieja. Ale przedtem musisz coś zjeść.

Posłuchała. Zjadła odrobinę karmy i popiła wodą.

– Smakuje jak w Domu – westchnęła. Rankiem Duża zabrała puste miseczki.

– Już lepiej, kocinko? – zapytała. Kucnęła obok nas.

Uszka czarnuli drgnęły, jakby usłyszała coś znajomego.

– Kocinka... kocinka... – szeptała Duża. – Kocinka... Cinka... Inka...

Czarnula zerwała się z radosnym piskiem i zatańczyła u nóg Dużej. Zwinna i lśniąca, nie przypominała w niczym tego żalostnego kłęбка rozpacz, który Duża wieczorem zostawiła u mego boku.

– Ty jesteś Inka? – zapytała Duża.

– Tak, Tak, Tak! – mówił każdy ruch czarnuli.

Tak jakby mało cudów wydarzyło się tego dnia.

## ***INKA***

Od tej pory Duża, kiedy wchodziła do świetlicy witała czarnulę jej imieniem. W jakiś niewytłumaczalny dla nas sposób wiedziała, że to trzyma kotkę przy życiu. A czarnula tańczyła wokół niej, rozgadana, szczęśliwa.

Ale tego dnia wydarzyło się jeszcze coś. Duża przyniosła ze sobą gazetę. Dobrze wiedzieliśmy, co to jest gazeta. Tam często pisywano o nas, a potem zjawiali się Duzi. Czasami odnajdywali swoje koty, a czasami ktoś zabierał nas do Domu, bo nagle się zakochał.

Duża posadziła sobie czarnulę na ramieniu i leciutko dmuchnęła jej w uszko.

– To na pewno jest o tobie! – powiedziała siadając na parapecie okna. Czarnula owinęła się dokoła jej szyi jak lśniący szalik.

– Posłuchaj... Dnia 9 kwietnia, na południe od miasta W. została wywieziona i porzucona młoda, czarna kotka. Ma na imię Inka i sypia oparta łebkiem o podłozę. Inka ma biały brzusek i krawacik, jest bardzo gadatliwa. Prosimy o pomoc.

To był prawdziwy cud! Czarnula wywinęła w powietrze koziołka, rozgadała się.

– Mój piękny Dom, mój Dom, mój własny! – śpiewała ocierając się o wszystkich i wszystko.

Duża wyjęła z kieszeni jakiś niewielki przedmiot, chwilę pobawiła się nim a potem zaczęła z nim rozmawiać. Rozmawiała długo i radośnie, a przedmiot odpowiadał. Najpierw z niedowierzaniem, a potem się rozplakał.

Duża złapała czarnulę między jednym podskokiem a drugim i przyłożyła jej do ucha przedmiot.

Przedmiot zagadał, a kotka aż przymknęła oczy ze szczęścia.

– Ina, Inka, Ineczka! – gadał przedmiot. – Już jadę! Jadę po ciebie, wszystko będzie dobrze!

Czarnula ocierała się o przedmiot, trącała go łebkiem, ale przedmiot zamilkł i Duża schowała go do kieszeni.

– Oddaj! – pisnęła kotka, ale Duża żartobliwie pokręciła głową.

– Twoja Pani już jest w drodze! – powiedziała.

– W drodze, w drodze! – zaśpiewała kotka.

Jej radość udzieliła się wszystkim. Mruczek i Filet tarzali się po podłodze, a Dziecko Tarnobrzeskiej dzielnie im sekundowało. Było zdrowe, dobrze wyrosnięte, wesołe i miało już zapewniony Dom.

Cieszyłam się z tego, bo Tarnobrzeska nie miała już tyle siły, żeby przez cały czas z nim baraszkować.

– Daj mi spokój – mówiła, gdy maluch skakał na nią z rozpędu. – Bolać mnie plecy.

Trochę martwił mnie stan jej zdrowia, ale nie odbierałam żadnych niepokojących sygnałów.

Tu, w Świetlicy, chociaż było nam dobrze, łatwo było zachorować – po prostu było nas za dużo.

Tarnobrzeska po prostu dość często odwiedzała Piasek i to było wszystko.

Zresztą Duża cały czas miała na wszystko oko. Chyba wierzyliśmy, że ma moc powstrzymywania złego. Skoro za pomocą przedmiotu potrafiła przywołać zaginioną Dużą znajdowała dobre Domy i – jak przekonaaliśmy się dziś – odnajdywała te, które się zgubiły. Więc, dopóki Duża była wśród nas nic złego nie miało prawa się stać. Zdarzało

się, że kiedy przychodzili nowi przybywały też z nimi zagrożenia. Często przychodziło za nimi TO. Ale nigdy ich nie odtrącałiśmy, bo przecież samotność i bezdomność są tak samo bolesne dla wszystkich.

Często słyszałam, że i Ludzie bywają bezdomni i zawsze mnie to dziwiło. Dziwiło jeszcze bardziej to, że niektórzy z ludzi podobno sami tę bezdomność wybierali. Co stało się z ich wewnętrznym Głosem? Dlaczego go nie słuchali? Żaden z nas – kotów, świadomie nie wybrałby bezdomności. Głodu, chłodu, lęku. Ale żyję już tak długo, że do wielu dziwnych rzeczy prawie zdążyłam się przyzwyczaić.

Dla mnie pewne jest, że Ludzie są dziwni. Potrafią sami pójść za Tęczowy Most – tak, jakby nie wiedzieli, że każdy ma swój czas. A przecież życie jest takie piękne. Wiem, bywa też smutne i okrutne, ale dopóki trwa – trwa i nadzieja. Życie potrafi się odmienić z dnia na dzień, wciąż jest więc nadzieja że głód minie, że chłód zamieni się w ciepły ką, że odejdzie ból. Nie wiem jak długo leżałam tak i myślałam nad tym, jak wielką zagadką są Ludzie.

Oczywiście, spotykałam też zwyczajnych ludzi – takich jak Duża Jasnowłosa. Takich, którzy smucą się wtedy, kiedy naprawdę jest im smutno i cieszą się, gdy jest się z czego cieszyć, i nigdy nie tracą nadziei. Często widziałam łzy w oczach Jasnowłosej, ale częściej widziałam uśmiech. Bo gdyby ona straciła nadzieję – co pozostałoby dla nas?

Czarna kotka, jak błyskawica przebiegła przez świetlicę, prościutko do drzwi. Spojrzałam w tamtą stronę. W progu klęczała jakaś obca Duża mocno tuląc do siebie czarnulę. Nie słyszałam, co do siebie szeptały, ale widziałam, że Duża płacze, a czarnuła jak pies liże jej twarz.

– Do domu! – powtarzała. – Do Domu! Nareszcie do Domu!

Duża z czarną przytuloną do niej mocno rozejrzała się po świetlicy.

– Mój Boże... – powiedziała, i wyszły.

Odwrociłam głowę. Nie chciałam, żeby ktokolwiek zobaczył, że ja, stara kotka, płaczę jak mały kociak wtuliwszy głowę między łapy.

## **MOŻESZ NIE WEJŚĆ NA DRZEWO**

My, koty, nie mamy dziewięciu istnień, jak to często nam przypisujecie. Po prostu niepotrzebnie nie pakujemy się w kłopoty. Nawet, jeśli brakuje nam jeszcze doświadczenia – pomaga Wewnętrzny Głos. Jeżeli jednak czasem jesteśmy zupełnie wobec czegoś bezsilni, tym czymś zwykle niestety bywacie wy – Ludzie. No, oczywiście nie wszyscy, ale... Czasami myślę, że Duża Jasnowłosa jest prawie kotem, bo tak dobrze nas rozumie. Wystarczy jedno spojrzenie i już wie. Wie prawie wszystko, więc posłusznie dajemy sobie czyścić uszy, bo – choć to niewygodne – usuwa uciążliwy świąd. Pozwalamy sobie bez protestów przemywać oczy, czyścić nosy, obcinać połamane pazurki. Ba, nawet wyrywać bolące zęby...

– Duża jest dobra – tak mówi nasz wewnętrzny Głos.

Dlatego zawsze, kiedy przychodzi do nas, nasze uniesione ogony mówią – Kochamy cię...

Gdyby wszyscy z was byli tacy jak Duża. Gdyby... Właśnie takie myśli często przychodzą mi do głowy, gdy budzę się rano, a wszyscy dokoła jeszcze śpią. Po cichu zaczynam się myć, a potem idę na obchód Świetlicy. Po prostu muszę wiedzieć, że wszystko jest w porządku. Tamtego ranka też tak było. Umyłam łapki, przetarłam uszy i pyszczek, parę razy wygięłam grzbiet i przeciągnęłam pazurkami po drapak. Już, już miałam wyruszyć na obchód, bo wyczułam jakiś nowy zapach gdy nagle, za oknem na ulicy rozległ się pisk opon, głuche stuknięcie i ostry krzyk bólu.

Nawet nie wiem, jak znalazłam się na parapecie okna. Na ulicy, tuż na wprost bramy naszego schroniska leżało Czekoladowe Kocisko. Wokół jego pyska powoli

powiększała się kałuża krwi. Poczułam jak chłód pełznie mi wzdłuż grzbietu. Łapy starego złośliwca jeszcze drgały.

– Pewnie wbiega na Tęczowy Most – szepnął ktoś tuż przy moim uchu.

Odwrociłam głowę i spojrzałam prosto w rozszerzone ze strachu oczy Mruczka.

– Nic tu po nas! – powiedziałam i zepchnęłam go z parapetu.

Usiadł obok mnie, nerwowo oblizując pyszczek.

– Babuniu? – spytał bardzo cichutko – Czy my wszyscy tak?...

No i co mogłam mu odpowiedzieć? Że możemy odejść na wiele różnych sposobów? Złowione w sidła, które ktoś zastawił na zająca. Postrzelone przez dorosłego myśliwego. Wrzucone do studni przez bezmyślne dzieci. Zabite łopata przez bezdusznego gospodarza. Czy miałam mówić o tych, których Duzi przywozili z Domów z żądaniem, by przeniesiono ich za Tęczowy Most – bo nagle skończyła się cierpliwość a z nią miłość?

– Jeśli mamy swoje miejsce w sercu Człowieka – powiedziałam wymijająco, – to on będzie nas chronić i kochać, aż nadejdzie nasz czas. A kiedy TO nadejdzie, on będzie blisko i TO nie będzie ani straszne, ani złe. Będzie tylko głębokim snem.

Spojrzałam w żółte oczy Mruczka.

– Przed tobą jest jeszcze bardzo dużo czasu!

– Kiedyś o mało nie... – szepnął. – Pamiętam, że byłem bardzo mały i nie mogłem oddychać.

Słyszałam odgłosy krzątania na ulicy, domyśliłam się, że to obie Duże zabierają Czekoladowe Kocisko.

– Dokuczał nam – powiedział Mruczek. – Ale...

Ale chciał żyć, jak my wszyscy. Może po prostu za długo był Dzikim Kotem, żeby tak z własnej woli przyjść i zamieszkać z nami? Może nie umiał inaczej, albo nie chciał?

– To był samochód, prawda? – usłyszałam obcy głos dobiegający gdzieś z okolicy Piasku.

Spojrzałam w tamtą stronę. Z pudełka niezdarnie gramolił się pręgowany kot.

– Tak – odpowiedziałam. – To był samochód.

Kot ruszył w naszą stronę ciągnąc za sobą bezwładne tylne łapy.

– Ja przeżyłem – powiedział. – Ale już nie jestem taki, jak byłem.

– Ojej! – pisnął Mruczek. – Ty nie możesz biegać!

Pręgowany kot poruszył wąsikami.

– Kiedy leży się na ulicy i wszystko boli, nie myśli się o tym, czy będzie się jeszcze biegać, czy nie... Myślisz tylko o jednym – czy ktoś przyjdzie i zabierze cię dokądkolwiek, czy będziesz sam, gdy nadjedzie drugi samochód. Mnie zabrano.

– Biedny jesteś... – szepnął Mruczek.

– Nie mogę biegać – powtórzył nowy. – Ani uciekać, ani wejść na drzewo. Ale umiem się bawić, I na pewno umiałbym kochać, gdyby tylko ktoś zechciał dać mi Dom...

Za dużo smutku jak na jeden dzień, pomyślałam i wyciągnęłam spod postania mocno już zużytą myszkę i rzuciłam na ziemię. Byłam pewna, że Mruczek złapie pierwszy, ale nowy już miał ją w łapach. Przeturlał się z myszką po podłodze, podrzucił i chwycił w zęby. Było w nim tyle radości, kipiał energią. Pewnie było mu smutno, że już nigdy nie wejdzie na drzewo. Ale mimo wszystko umiał się cieszyć.

– Widzisz? – powiedziała Duża, która wzięła się niewiedomo skąd. – Jeśli ktoś kocha, to nieważne, czy umiesz wejść na drzewo, czy nie. Po prostu wystarczy, że się jest i że się mruczy...

Serce zabiło mi bardzo, bardzo mocno. Coś w środku podpowiadało mi, że mogłabym jeszcze wejść na niejedno drzewo i podbiec na powitanie i spojrzeć z miłością prosto w oczy i mrużyć... Mrużyć... Mrużyć... Moje oczy napotkały wzrok Dużej. Znowu rozumiałymy się bez słów.

## ***DZIECI, DZIECI, DZIECI...***

Czas mijał. Już prawie zapomniałam o dniu, w którym robiono mi zdjęcia. Przypomniało mi się, kiedy robiono zdjęcia Tarnobrzeskiej. Duża...o, Duża zawsze wiedziała jak robić zdjęcia tak, aby pokazać naszą urodę. Pokazać, jacy jesteśmy dzielni, jak wspaniale potrafimy sobie radzić. Dlatego Tarnobrzeskiej zrobiła zdjęcie na belce, ale w tym nie było wcale przesady, bo Tarnobrzeska mimo braku łapki umiała się całkiem zwinnie wspinać i skakać. Duża dbała, żeby zdjęcia były ładne. Pewnie dlatego kiedyś odrzuciła te, na których wytrzeszczałam oczy i zaciskałam bezżębny pyszczek.

Tamtego ranka powiedziała, że obie – to znaczy ja i Tarnobrzeska – jesteśmy na Allegro. Allegro to jest coś takiego (pewnie nudzę, bo Wy to wiecie, ale na wszelki wypadek...), gdzie dużo Ludzi może nas oglądać bez przychodzenia do Świetlicy. I mogą nas kupić. Oprócz tego, że pokazywała nasze zdjęcia Duża pisała tam o nas, żeby ci, którzy oglądają wiedzieli coś więcej: jak mamy na imię, co lubimy, a czego nie, czy czekamy na dom, gdzie będziemy sami, czy lubimy towarzystwo innych kotów.

Patrzyłam, jak Duża fotografuje Tarnobrzeską i myślałam o sobie – co lubię, a czego nie lubię?

Wyszło mi, że lubię prawie wszystko. A najbardziej chciałabym zasypiać na własnym posłaniu, I żeby ktoś do mnie mówił, I trochę mnie pogłaskał z rana i przed snem. Nie mogę powiedzieć, że tu mnie nie głaskano, ale przecież oprócz mnie była cała reszta. A ich marzenia wcale nie różniły się od moich. Wyszło mi też, że naprawdę nie przeszkadzałoby mi towarzystwo innych kotów, bo po tym tłumie w Świetlicy sama czułabym się chyba nieswojo. A może nawet nie przeszkadzałoby mi Psy? Nie wiem, kto wymyślił, że my i Psy koniecznie musimy się nie lubić? Ale, jak powtarzam bez przerwy – ludzie są dziwni.

Po zakończonych zdjęciach Tarnobrzeska usiadła cichutko obok mnie.

– Nie skacz mi na plecy! – skarciła Dziecko. – Jesteś już za duża. Przecież niedługo wyjeżdżasz do Domu.

Dziecko przycichło. Przytuliło się do matki i zapiszczało – Ale ja nie chcę!

– Chcesz! – odpowiedziała Tarnobrzaska. – Tylko jeszcze o tym nie wiesz.

– A mi się tutaj podoba! – miauknęło Dziecko. – Tu jest Mruczek i Filet, I Babunia.

– Taka jest kolej rzeczy – powiedziałam. – Nasze miejsce jest na kolanach Człowieka, a naszym zadaniem jest kochać i mruczeć.

Dziecko tak się zasłuchało, że z przejścia zapomniało schować języczek.

– Ale... ja już nigdy nie zobaczę mamy... – szepnęło.

Tarnobrzaska przewróciła je na plecy.

– Będę do ciebie mówić!

– Gdzie? – zapytało Dziecko, a Tarnobrzaska dotknęła jego piersi.

– Tu, w twoim serduszku.

– Przez całe życie? – upewniło się Dziecko.

– Przez całe moje życie i całe twoje życie!

Coś ukłuło mnie w środku i pomyślałam o moich Dzieciach. Dawno do nich nie mówiłam zajęta życiem Świetlicy. Gdy nadszedł wieczór usiadłam na parapecie i przez okno spojrzałam w górę. Przez liście prześwitywał bladły różek księżycy, a ze szpary w okiennej ramie dochodził zapach liści.

– To ja, wasza mama – pomyślałam bardzo, bardzo mocno. – Wasza mama. Bezpieczna i zdrowa. W Świetlicy.

Od tego intensywnego myślenia aż rozboleł mnie łeppek.

– To ja, wasza mama – szeptałam w myślach, dopóki nie dotarła do mnie daleka fala ciepła. Jedna, druga i trzecia. Podałam się tym talom przymykając oczy. Otaczały mnie ciepłem. Zanurzałam się w nie jak w miękkie futro.

– A co ty tak tutaj siedzisz, Babuniu? – spytał ktoś za moimi plecami.

To była Duża. Chyba szła do domu, bo miała na sobie niebieska kurtkę. Spojrzałam na nią dłużej i intensywnie. Przytuliła mnie do siebie.

– Wiesz, kiciu... – szepnęła. – ...Twoje Dzieci pewnie wyrosły na śliczne i mądre koty.  
No, powiedzcie sami – skąd ona to wszystko wie? Tej nocy spałam dobrze i mocno, bez snów. Otaczało mnie coś ciepłego. Tak ciepłego i tak dobrego, jak ręce Dużej.

## ZAMKNIĘTY POKÓJ

O tym, że za drzwiami świetlicy jest gdzieś Zamknięty Pokój wiedzieliśmy wszyscy.

W Zamkniętym Pokoju przebywali chorzy, a to dlatego, żeby inni, zdrowi się od nich nie pozarażali. A poza tym, kiedy ktoś jest chory na pewno chciałby mieć spokój.

Sama odwiedziłam Zamknięty Pokój, kiedy usuwano mi zęby. To wcale nie było miłe. W powietrzu unosił się ostry, drażniący zapach, a mój wewnętrzny Głos ostrzeżał, że od czasu do czasu przychodziło tutaj TO. Więc, kiedy znów wróciłam do Świetlicy czułam się tak, jakbym wróciła do domu z dalekiej podróży.

O wszystkim, co działo się w Świetlicy i poza nią najlepiej wiedziała Magda. Ze swojej belki pod sufitem widziała cały Dywan i wszystko, co dzieje się na ulicy. Tego dnia podbiegła do mnie bardzo podekscytowana.

– W Zamkniętym Pokoju jest Stary Złośnik – powiedziała. – Jak nie wierzysz, to chodź!

Nie chciało mi się wierzyć. Na własne oczy widziałam przecież kałużę krwi. Podreptałam za Magdą i obie przysiadłyśmy tuż koło drzwi. Kiedy do świetlicy weszła Duża z ogromną torbą suchej karmy – nie było czasu zastanawiać się od kogo z Wirtualnych przyszła tym razem paczka – wymknęłyśmy się na korytarz. Do Zamkniętego Pokoju prowadziła smuga zapachu. Na szczęście ktoś nie domknął drzwi i mogłyśmy wślizgnąć się do środka.

– To tutaj – szepnęła Magda i wskoczyła na stołek. A ja za nią.

Rzeczywiście. W klatce, opłatany jakimiś rurkami leżał Stary Złośliwiec. Jego boki unosiły się w rytm nierównego, płytkiego oddechu. Pachniał czymś dziwnym, prze-  
rażliwie ostrym.

– Żyje! – szepnęłam z niedowierzaniem. – Przeżył!

Oczy zrobiły mi się okrągłe ze zdziwienia. Drgnęłam, gdy za moimi plecami rozległ się cichy głosik.

– On żyje – powiedział Głosik. – Ale było z nim bardzo źle.

Odwrociłam się. W klatce na stole siedział mały, puszysty, biały kotek z niebieskimi oczkami.

– Co tu robisz? – zapytałam.

– Trochę się boję – odpowiedział kotek. – A tak w ogóle, to czekam na Domek.

– Dlaczego nie jesteś w Świetlicy? – chciała dowiedzieć się Magda.

– A co to jest Świetlica?

Wyciągnął przez pręty puszystą łapkę i dotknął mojego ogona. Nie wiem, dlaczego pomyślałam nagle o dwóch kociakach wylegujących się na moim ogonie.

Za oknem przejechało jakieś ciężkie auto. Czekoladowe Kocisko gwałtownie się wzdrygnęło. – Nie mogę przez niego spać! – poskarżył się kociak.

Otarłam się pyszczkiem o klatkę.

– W świetlicy jest nas dużo – powiedziałam. – Razem jemy, śpimy, bawimy się.

Kociak stropił się.

– Nie mogę się bawić. Mam zepsutą łapkę. Ciągnie się za mną i przeszkadza w zabawie.

– Jest w świetlicy taki jeden, co ma zepsute dwie łapy – miauknęła Magda. – I bawi się myszką.

Kociak wstał. Rzeczywiście, jedna tylna łapka była bezwładna i wyraźnie cieńsza od pozostałych.

– Smutno mi tutaj – poskarżył się. – Są Duże, ale to nie to samo. Miałem braci i siostry, i mamę, ale oni pojechali do Domów. A ja... Wszystko przez tę łapę...

– Powinieneś zobaczyć Pręgowanego Kota z Pudelka. Może nauczyłbyś się czegoś od niego – mruknęłam.

Pochłonięta rozmową, nie zauważyłam uciekającej Magdy, która prawie podcięła nogi Dużej.

– A ty co tu robisz? – spytała Duża biorąc mnie na rękę.

Kociak przestraszony rozpląszczył się w swojej klatce i mocno zacisnął oczy. Gdybym знаła ludzką mowę odpowiedziałabym, że nic takiego, że tylko sobie patrzę. Ale mogłam tylko cicho, przepraszająco mruknąć i spojrzeć Dużej głęboko w oczy.

– Wyjdzie z tego – powiedziała Duża patrząc na klatkę, w której leżał Stary Złośliwiec. – Miał sporo szczęścia, ale... – zawahała się. – Ale stracił zęby.

Schyliłam głowę, bo wydawało mi się, że wszystkie moje uczucia mam wypisane na pyszczku. Spojrzałam w stronę klatki, w której leżało rozpląszczone Białe Kocię.

– Babuniu! – uśmiechnęła się Duża. – Czyżbyś chciała założyć przedszkole? Leciutko uniosłam kąciki warg próbując naśladować ludzki uśmiech i zamruczałam.

– Jest bardzo delikatny – powiedziała. – Więc nie mogę dać ci go do Świetlicy. Zresztą już jutro jedzie do Domu.

Nie odwracałam głowy tylko dalej uparcie patrzyłam w oczy Dużej.

– Do Świetlicy nie – powtórzyła. – Ale możecie sobie pomieszkać w Biurze.

Białe Kocię uniosło łeppek i spojrzało na nas wielkimi, błękitnymi latarenkami. Skoczyłam z ramion Dużej na stół i przysunęłam pyszczek do klatki.

– Pomieszkamy w Biurze – szepnęłam. – Przyniosę myszkę i opowiem ci o Świetlicy...

Kociak wysunął łapkę i trącił mnie w ucho.

– Ale wrócisz? – zapytał.

– Wrócę!

Szłam do Świetlicy szybciotko, wyprzedzając Dużą. Musiałam przecież opowiedzieć o wszystkim Mruczkowi, Filetowi, Dziecku i Tarnobrzeskiej. Opowiedzieć jak to ja, stara kotka, ciągle nie potrafię się oprzeć spojrzeniu dzieciennych oczu.

## ***DOKTOR BABUNIA***

W południe Duża przyszła po mnie do Świetlicy. Drzemałam niespokojnie z łapą na futrzanej myszce.

– Babuniu! – Duża delikatnie podrapała mnie pod brodą. – Babuniu, już możemy pójść do Biura.

Dobrze wiedziałam, co to jest Biuro. To taki pokój pełen papierów, a w tych papierach jest wszystko o nas. Skąd nas przywieziono, czy chorowaliśmy, czy nie mamy robaków... Czy nas nie swędzą uszy? No i w Biurze były też Umowy Adopcyjne. Duża powiedziała mi kiedyś, że ludzie, którzy chcą zabrać kogoś z nas do Domu muszą podpisać Umowę Adopcyjną.

Do niedawna nie rozumiałam, dlaczego Człowiek musi obiecać, że będzie o nas dbać, kochać nas i opiekować się nami, dopóki Ręcznik nie opowiedział mi o swych przeżyciach. Skoczyłam na biurko i nie dbając o to, że zostawiam ślady łapek na wszystkich papierach przyjrzałam się uważnie rządkom czarnych znaczków. Gdybym umiała czytać... Niestety, byłam tylko Starą Kotką i nie dowiedziałam się, czy w Umowie Adopcyjnej było coś o tym, że nie wolno nam łamać ogonów.

Duża delikatnie zdjęła mnie ze stołu i spojrzała na papiery.

– Widzę, że podpisałaś swoją Umowę Adopcyjną – powiedziała.

Gdybym wtedy nie była tak bardzo przejęta tym, że w Biurze ustawiono dla nas nawet Piasek, dotarłoby do mnie znaczenie jej słów. Podeszłam do koszyka, w którym

leżało Białe Kocię. Na mój widok uśmiechnęło się. Wypuściłam z pyszczka futrzaną myszkę.

– Nauczę cię, jak się bawić – powiedziałam.

Duża rozłożyła dla mnie na podłodze kawałek koca i poszła do Zamkniętego Pokoju.

– On żyje – szepnęło Kocię. – Żyje, ale nie ma zębów.

Ułożyłam się obok małego i obejrzałam jego łapę. Była cieńsza od drugiej, ale ciepła, a wewnętrzny Głos podpowiedział mi, że nie była do końca zepsuta. Polizałam ją, a Kocię zamruczało z zadowolenia.

– Mama też lizała mi łapę – westchnęło.

– Pamiętasz, jak się zepsuła? – zapytałam między jednym a drugim liźnięciem.

– Na początku była dobra – powiedziało. – Ale najpierw przyleżała mi ją mama, a potem brat.

Kiedy zepsuta łapa była porządnie wylizana rzuciłam małemu myszkę. Zabłyszczwały niebieskie oczy i zerwał się na wszystkie cztery łapy. Zepsuta łapa trochę się ugięła, ale Białe Kocię wspierało się na niej dość pewnie. Trochę porzucaliśmy myszką, a potem zmorzył mnie sen. Zwinęłam się w kłębek, ale Kocię podsunęło mi łapkę.

– Babuniu...

Przypomniały mi się te wszystkie popołudnia, gdy leżąc w sianie, w półśnie wylizywałam futerka moich Dzieci. Przed oczami przesuwały mi się ich zaspane pyszczki i pazurki delikatne, jak kolce kwiatów. Takich, jakie dostawała Duża.

Przez sen słyszałam jak pomrukuje Białe Kocię, jak Duża szeleści papierami i jak rozmawia z gadającym przedmiotem. Ktoś o coś pytał, ktoś odpowiadał.

Małe obudziło się i przemaszerowało do Piasku. Duża przetarła oczy, ale łapa znowu się zepsuła i Kocię wróciło do mojego boku.

– Opowiedz mi o Świetlicy – poprosiło.

Zaczęłam, więc opowiadać o tym, jak wygląda Świetlica, ale kiedy doszłam do Mruczka wylegującego się na moim ogonie, Kocię wrzasnęło.

– Niech on tego nie robi, bo zepsuje ci ogon!  
– Nie zepsuje! – uspokoila je. – Zobacz, jest w porzadku.

Zeby miało pewnośc poruszyla ogonem na prawo i lewo.

– Ale niech on nie śpi! – upierało się Kocię.

A potem, kiedy opróżniliśmy miseczki znowu bawilo się myszką.

– Czy Filet i Mruczek też się tak bawią? – pytało.

– Dokładnie tak samo.

Żałowała, że Duża już sobie poszła, bo zepsuta łapa brała udział w zabawie, jakby nigdy nic się jej nie stało. Gdy Kocię zasnęło, wyszłam przez uchylone drzwi na korytarz. Minęłam Zamknięty Pokój, gdzie panowała cisza i podeszłam cichutko pod drzwi Świetlicy. Były zamknięte, ale i tak słycać było pojedyncze szepty.

– Złaż z mojego ogona! – dobiegł do moich uszu wścickły syk Magdy i odgłos silnego pacnięcia w ucho. Wróciłam do Biura i zajęłam się zepsuta łapą.

Rano po Białe Kocię przyjechał Dom. Dom najpierw się trochę rozplakał a potem, przy pomocy Dużej zapakował Kocię do koszyka. Zabiegłam im drogę. Stańłam słupka, a gdy to nie pomogło, trąciłam Dom łapą.

– To Babunia – powiedziała Duża Jasnowłosa. – Chyba chce coś nam powiedzieć...

Kocię wyszło z koszyka opierając się na zepsutej łapie. Spojrzałam na Dom i na Dużą i mocno polizalam tę łapę z góry na dół. Jeszcze jedno spojrzenie i jeszcze jedno liźnięcie.

– Teraz idź! – powiedziałam, a Kocię posłusznie podreptało do koszyka.

– Nie wierzę własnym oczom! – szepnęła Duża i odwróciła się w stronę biurka.

Po chwili wiozyla do koszyka z kociakiem jakas kartkę.

– Co to? – zapytał Dom.

– Recepta! – uśmiechnęła się Duża. – Doktor Babunia zaleca: „lizać cztery razy dziennie, długo i skutecznie”.

Wprawdzie nie wiem, czy i jak Dom zastosował się do mojej rady, ale od tego czasu Duża często mówiła o mnie „pani doktor”.

## ***NAJLEPSZY DOM NA ŚWIECIE***

Dom przyjechał po Dziecko późnym popołudniem. Ale jak przyjechał! Najpierw pojawiły się futrzane myszki i kolorowe piłeczki, potem mnóstwo jedzenia i na samym końcu Duży. To była prawdziwa sensacja, bo najczęściej pojawiały się Duże. Stare i młode. Dużych widywaliśmy bardzo rzadko. Jeśli przyjeżdżali, to zwykle jako Transport. Tym razem to był Duży, a w ślad za nim szło jego Małe. Duży poruszał się cicho i delikatnie. Zaczął od pogłaskania Magdy, która – jak zwykle – witała gości. Potarmościł Mruczka, podrapał za uchem Fileta i rozejrzał się dookoła.

– To twój Dom – szepnęła Tamobrzeska, a Dziecko schowało się za nią. – To dobry Dom.

– No i gdzie jest to nasze szczęście? – odezwał się Duży.

Dziecko zamknęło oczy, udając, że jest niewidzialne. Duży usiadł na podłodze, a jego Małe kucnęło obok.

– Nie ma naszego kotka? – spytało.

– Musi tu gdzieś być – odpowiedział Duży. – Mamy czas, poczekamy.

Podeszłam, żeby przyjrzeć mu się z bliska. Ręce miał duże i ciepłe. Było w nich coś takiego, że chciałoby się być głaskanym bez końca. Wygięłam grzbiet i otarłam się mocno o jego kolana.

– A może ty wiesz, gdzie jest nasz kotek? – zapytał. – Nasz własny, mały kotek?

Wtedy Tamobrzeska podniosła się, delikatnie trąciła Dziecko nosem i zbliżyła się do Dużego.

Obwąchała jego ręce, przysunęła pyszczek blisko jego twarzy.

– To dobry Dom – szepnęła. – Chodź!

Dziecko otworzyło oczy i trochę się zjeżyło.

– O, jest nasz kotek! – powiedział Duży i wyciągnął rękę, o którą otarła się Tarnobrzeska.

Dziecko zrobiło dwa nieśmiałe krocзки w przód.

– No, idź! – zamruczała matka.

Wyciągnięta ręka dalej wisiała w powietrzu.

– Kawał tchórza! – prychnął pogardliwie Filet.

– Właśnie, że nie! – zafuczało Dziecko. Podbiegło i z całej siły ugryzło rękę w palec.

– Au! – syknął Duży, ale ręki nie cofnął.

Wskazującym palcem drugiej ręki pogłaskał Dziecko od głowy aż do końca cieniutkiego ogonka, który aż zagiął się z zadowolenia. A wtedy Duży ujął Dziecko pod brzuszek, najdelikatniej, jak tylko mógł i uniół na wysokość swojej twarzy. Prawie słyszałam bicie małego serduszka Dziecka Tarnobrzeskiej.

– I co? – spytał Duży. – Pojedziesz z nami?

– Idź! – odezwała się matka. – To najlepszy Dom, jaki widziałam.

– Dla pewności – powiedział Duży – wsadzimy cię do koszyczka.

Zamknął wieczko i wręczył koszyk swojemu Małemu. Usłyszałam cichy pisk protestu i drapanie pazurków, ale Tarnobrzeska nawet nie drgnęła.

– Będę w twoim serduszku! – zamruczała. – Przez całe życie, moje i twoje.

– I ja też – odpowiedziało Dziecko. – Zawsze!

– To jest jego mamusia – tłumaczył Duży swojemu Małemu.

– A ona nie będzie za nim płakać? – spytało Małe. – A ono za nią?

– Tego nie wiem, kochanie – powiedział Duży. – Ale przecież wiesz, że mamusia jest zawsze w serduszku swojego dziecka.

– Tak jak nasza mamusia? – dopytywało się Małe, zaglądając przez szparkę do koszyka.

– Tak jak nasza... – odpowiedział, a oczy miał jakieś takie dziwnie mokre.

Pogłaskał Tarnobrzeską i wyszli. Oblizła nos i zwinęła się w kłębek na swoim postaniu. Cichutko zajęłam się sobą, bo mój Wewnętrzny Głos podpowiadał, żeby nie przeszkadzać.

Popołudnie przeszło w wieczór. Tarnobrzeska spała. Podeszłam bliżej i zobaczyłam, że wtuliła policzek w dołek wygnieciony przez Dziecko. Kikutem lewej łapki przytrzymywała sfatygowaną futrzana myszkę.

Ułożyłam się do snu. Przymknęłam oczy. Gdzieś daleko, Dziecko Tarnobrzeskiej zwiedzało swój nowy Dom. Najlepszy, jaki mógł się znaleźć.

## **NIEDZIELA**

Niedziela to jest taki dzień, kiedy Duża Jasnowłosa może pobyc z nami dłużej, niż zwykle.

Ale ta niedziela była inna, bo Duża miała czas tylko dla Pręgowanego Kota z Pudełka. Wykąpany został już wczoraj wieczorem. Rano przyszła kolej na wyczesanie futra, wyczyszczenie uszu i przycięcie pazurów. Filet i Mruczek przyglądali się każdemu ruchowi rąk Dużej.

– Ja bym tak nie mógł – mruczał Filet.

Ale Pręgowany Kot z Pudełka mógł i wyraźnie sprawiało mu to przyjemność, bo poddawał się wszystkim zabiegom głośno mrużąc i przyzymkając oczy z zadowolenia. Zepsute łapki – tak głęboko zapadło mi w serce to określenie – zostały wyczyszczone i chociaż leżały obok niego, jak zawsze bezwładne i cieniutkie to futerko na nich błyszczało. Na szyi miał czerwoną obrózkę, którą przysłał mu jego Dom, żeby nikt nie pomylił go z żadnym innym kotem. Trochę mi się to wydało dziwne, bo przecież żaden inny kot ze Świetlicy nie miał zepsutych łapek. Ale, co cały czas powtarzam – Ludzie często zachowują się dziwnie. Duża kiedyś tłumaczyła nam, że dzięki temu czują się bliżej swoich kotów czekających na Transport. Pręgowany Kot z Pudełka oczywiście się z tym zgodził.

Od momentu, kiedy założono mu tę obróżkę zaczął czuć się Kotem Domowym i często sprawdzał, czy obróżka jest na swoim miejscu. Była – cienka i czerwona.

Mruczek i Filet nie mieli obróżek, ale co kilka dni wysyłano Dużym ich zdjęcia. Każde było podpisane: „Filet śpi”, albo „Mruczek i myszka”.

Pręgowany Kot, wyczesany i błyszczący prezentował się zupełnie nieźle. Kiedy tak siedział wyprostowany w swoim pudełku wcale nie było widać, że z jego łapami jest coś nie tak. Bardzo się denerwował – co chwila oblizywał łapę i przecierał uszy, łapał nieistniejące pchły i ziewał. Duża też się niepokoiła, patrzyła na coś, co miała przypięte do ręki i wyglądała przez okno. Wskoczyłam na parapet i na pocieszenie trąciłam ją czołem.

– Nie wiem, co się mogło stać – powiedziała trochę do mnie a trochę do siebie.  
– Chyba się nie rozmyślili...

Rozmyślili. To słowo często pojawiało się w Świetlicy. Oznaczało, że Dom się wycofał. Nie wiem, czemu Domy się wycofywały, ale i tak było to na pewno lepsze niż Powroty. Ci, którzy wracali mieli często Złamane Serca. Tak było z pręgowaną kotką Miszą. Po powrocie zaszyła się w kącik koło grzejnika, przestała chodzić do Piasku i zaczęła gubić futro. Duża karmiła ją na siłę – Misza pozwalała wpychać sobie do pyszczka małe kawałki mięsa i posłusznie je przelykała, ale potem znowu wracała do swojego kącika.

Przypominałam sobie Miszę, kiedy teraz patrzyłam na Pręgowanego Kota. Przestał już się oblizywać, zwinął w kłębek i nerwowo poruszał koniuszkiem ogona.

– Żeby tylko przyjechali... – myślałam spacerując po parapecie i trącając rękę Dużej.

Mruczek i Filet jakoś dziwnie stracili humor i siedzieli cicho na belce. A Tarnobrzaska spała, albo udawała, że śpi. Nie chciało mi się wierzyć, że Dom mógł zrezygnować. Była przecież cienka, czerwona obróżka.

– Po prostu nie wiem... – szepnęła Duża. – Coś musiało się wydarzyć...

Cichutko podeszłam do Pręgowanego Kota. Trochę nieudolnie udawał, że śpi.

– Słyszysz? – zamruczałam. – Coś musiało się wydarzyć!

Poruszył uszami.

– Nie musisz mnie pocieszać – odpowiedział. – Będzie to, co będzie.

Tylko, że ja nie wiedziałam, co będzie. Wierzyłam słowom Dużej, wierzyłam Umowom Adopcynym, futrzanym myszkom i cienkim, czerwonym obróżkom.

– Szkoda tylko, że nie wiem, czy „tak” czy „nie” – powiedział cicho Pręgowany Kot.  
– Chciałbym bardzo do Piasku, ale pobrudzę sobie łapy...

Pomilczeliśmy chwilę, aż w końcu Pręgowany Kot wstał i pociągnął bezwładne łapy w stronę pudełka z Piaskiem. Odwróciłam głowę akurat w chwili, gdy otworzyły się drzwi.

– Ależ on sobie wspaniale radzi! – rozległ się zaskoczony Głos.

– Przyjechali! – wrzasnął Filet i spadł z belki wprost na Magdę.

Pręgowany Kot wyszedł z Piasku i trochę niezgrabnie zaczął czyścić sobie łapy.

– Moje biedne, dzielne kocisko – powiedział Głos i podrapał go za uchem.

Kiedy oczy Pręgowanego Kota zaświeciły jak dwie latarki wiedziałam już na pewno, że z tego Domu nie będzie powrotu.

## ***DLACZEGO DOM SIĘ SPÓŹNIŁ?***

Powód tajemniczego spóźnienia poznaliśmy bardzo szybko. Gdy Pręgowany kot odjechał do Domu na korytarzu zaczęła się straszna bieranina. Było to, co najmniej dziwne, bo niedziele zazwyczaj bywają spokojne.

– Na pewno przyjechał ktoś nowy – powiedziała Tarnobrzeska, otwierając oczy.

Rozejrzałam się za Magdą. Oczywiście w sobie tylko znany sposób znikła ze Świetlicy. Naprawdę, w wychodzeniu na zewnątrz była mistrzynią. Mruczek i Filet oczywiście próbowali ją naśladować, ale bezskutecznie. Kiedy dostrzegali, że drzwi Świetlicy się otwierają rzucali się w ich kierunku wpadając na siebie. Trudno było ich nie zauważyć i kolejna próba kończyła się szybkim powrotem do środka. Ograniczyli więc swoją ciekawość do siedzenia w pobliżu szpary pod drzwiami i nasłuchiwania.

– Niosą kogoś! – relacjonował Filet odpychając od szpary Mruczka.

– Do Zamkniętego Pokoju! – dopowiedział Mruczek.

Wymieniłyśmy z Tarnobrzeską spojrzenia. Zamknięty Pokój był smutnym miejscem. W nim odchodziły koty zebrane z poboczy, cierpiały te, którym udało się przeżyć, rodziły się nowe – na niepewny los. Pomyślałam o Starym Złośliwcu, który leżał tam od kilkunastu dni. Przypomniałam sobie Białe Kocię i to, jak razem naprawialiśmy zepsutą łapkę, a potem wszystkie wspomnienia, dobre i złe zaczęły kłębić się w mojej głowie. Przed oczami przesuwiał mi się ślepy pyszczek Starej Futrzanej Czapeczki, w uszach dzwięczała skarga Ręcznika.

Wstałam i przespacerowałam się po Świetlicy. Każdy z mieszkańców zajęty był czymś innym. Jedni spali, bo wtedy czas mijał szybciej. Kiedy się nie ma domu i żyje życiem Świetlicy często pozostaje tylko sen. Nie zawsze przynoszący ulgę, ale skutecznie zabijający czas. Drudzy – porządkowali futro, jeszcze inni – bawili się.

Drzwi otworzyły się i weszła Duża niosąc Czekoladowe Kocisko. Wymieniła posłanie w pudełku opuszczonym przez Pręgowanego Kota i ułożyła tam Starego Złośliwca. Wyciągnęła rękę i pogłaskała go. O dziwo, Stary Złośnik nadstawił łeb o postrzępionych uszach i wydał coś, co zabrzmiało jak pomruk aprobaty.

– Musisz tu trochę pomieszkać, chcesz, czy nie – powiedziała Duża.

Stary Złośnik musiał być bardzo słaby, bo po prostu leżał i patrzył. Nie wykrzywił brzydko pyska, ani nie trzepał obraźliwie ogonem.

– Może porozmawiamy o jajeczkach? – warknął Mruczek i ruszył w stronę koszyka.

Zatrzymałam go. Trochę się obruszył, ale prawa świetlicy były jasne – każde z nas jest częścią Dywanu i nikomu z nas tej jedności naruszyć nie wolno. Mruczek jeszcze raz warknął i wrócił na posterunek przy drzwiach. Podeszłam do Starego Złośnika.

– I jak? – zapytałam.

– Nijak! – odsyknął Złośnik.

Nie było się o co obrażać. Po prostu dalej był sobą. Odeszłam do swojego kąca. Pewnie miał nas za ostatnie niedolegi, grzejące się w ciepłe i zjadające to, co podano pod nos. Ale teraz było mi naprawdę wszystko jedno, co myśli. Od czasu do czasu spogląda-

łam w jego stronę, ale leżał nieruchomo i nie zwracał uwagi na otoczenie. Pomyślałam, że ze swoim ciemnobrazowym futrem wygląda jak kawałek czekolady wdeptany w Dywan.

Za oknem zapadał zmrok. Mruczek i Filet przysnęli przy drzwiach i Duża niosąc jedzenie prawie by na nich nastąpiła. No i rzecz jasna, z zamieszania skorzystała przyuczajona na korytarzu Magda. Jednym susem znalazła się w świetlicy. Wskoczyła na swoją belkę i spojrzała na mnie.

– Przywieźli nowego – miauknęła. – Jest rudy, a na plecach nie ma futra.

– Mały? Duży? – dopytywał się Filet, ale Magda zwinęła się w kłębek i było wiadomo, że już nic nie powie.

Podeszłam do miseczki i zaczęłam jeść. Zdążyłam już wypracować sobie własny sposób jedzenia. Szorstki język świetnie radził sobie z drobnymi kawałkami karmy, a w ogóle to Duża przyrządzała mi osobne porcje. Jadłam, ale cały czas czułam na sobie czyjeś uporczywe spojrzenie. Powoli odwróciłam się i napotkałam wzrok Starego Złośnika. Zrozumiałam. Wyjadłam wszystko do końca i wylizałam miseczkę. A potem podeszłam do pudełka, przy którym stała miseczka z jedzeniem identycznym jak moje.

– Bierz na początek małe kawałeczki – powiedziałam. – Rozgniataj je językiem. Tak jest najlepiej.

Rzucił mi kwaśne spojrzenie i trochę chwiejnie podniósł się z pudełka. Poczłapał do miski i zaczął jeść. Na początku bardzo ostrożnie i powoli, potem trochę szybciej. Nie zjadł wszystkiego, ale gdy wracał, żeby się położyć, jego oczy nabrały łagodniejszego wyrazu. Patrzyłam jak się myje i z wyraźną przyjemnością układa do snu.

Ciekawe – pomyślałam, kto jest w Zamkniętym Pokoju i czy obudzi się jutro rano?

## MIŁOŚĆ

Kiedy za Pręgowanym Kotem zamknęły się drzwi, Świetlica, mimo późnej pory ożyła. Pręgowany Kot był już w drodze do domu, otulony mianem Dzielnego Kota, jak

ciepłym kocem. Gdyby ktoś spojrział na nas z góry nie zauważyłby jednak żadnej różnicy – było nas tak dużo, że jeden więcej czy jeden mniej nie powodował żadnych zmian we wzorze Dywanu. Ale dla nas to było bardzo ważne. Stara Futrzana Czapeczka, Białe Kocię i Pręgowany Kot z pudełka byli dowodami na istnienie świata poza Świetlicą. Świata, w którym mimo cierpień i smutku była jeszcze miłość.

Kiedy przypisano nam Chodzenie Własnymi Drogami w pewien sposób odebrano nam zdolność odczuwania Miłości. Bo Ludzie dziwnie pojmują Miłość. Dla nich miłość musi stale być obecna, potwierdzać swoje istnienie, ciągle powtarzać, że jest, że nie odeszła.

Tak kochają Psy. Może dlatego częściej niż my znajdują Domy? Dla nas, Kotów – Miłość to spojrzenie z zielonych zakamarków ogrodu, z zagłębienia w fotelu, z kuchennej szafki. Nie liżemy Waszych rąk, często nie zbliżamy się do Was. Ale kochamy. Tylko naszą Miłość niełatwo zdobyć. Nie lubimy hałasu. Pośpiechu. Czekamy, żebyście zatrzymali się na chwilę. Nie umiemy podawać łapy, ani pilnować domu. Nie potrafili-byśmy chyba nawet stanąć w Waszej obronie...

Trudno jest nauczyć się rozumieć naszą Miłość. Dlatego tak trudno nam Was znaleźć.

Kiedy patrzę na Dywan widzę całe morze Miłości.

Rudzielec bez futra na plecach był jedną małą falą na tym morzu – szedł powoli, kłusząc się, stąpając ostrożnie na szeroko rozstawionych łapach. Oddychał bardzo dziwnie. Coś świszczało mu w płucach, a boki spazmatycznie unosiły się i zapadały. Najwyraźniej zmierzał w stronę naszego kąta. Może dlatego, że było to miejsce blisko okna, a może wyczuł nasze ciekawe spojrzenia?

– On nie umie oddychać – szepnął Mruczek najciszej, jak tylko mógł. Ale Rudzielec i tak ustłzał:

Trwało dobrą chwilę, zanim zbliżył się do nas. Nie miał futra na plecach. Pod pachami miał brzydkie, jeszcze nie, wygojone rany.

– Nie potrafię normalnie oddychać – powiedział, patrząc na Mruczka pięknymi, żółtymi oczyma.

– Ale Duża obiecała, że to minie.

Zasapał się i przez chwilę gorączkowo łapał powietrze. Obejrzałam jego plecy. Wyglądały tak, jakby ktoś wyciął z nich kawałki skóry.

– Wiem... – szepnął. – Nie wygląda to ładnie, ale jestem taki szczęśliwy.

– Szczęśliwy? – oczy Fileta zrobiły się okrągłe ze zdumienia.

– Tak, bardzo! – wysapał Rudzielec. – Żyję. Uczę się oddychać.

Mruczek trącił go głową.

– Jak byłem chory, też nie mogłem oddychać.

Rudzielec oblizwał pyszczek

– Ja nie byłem chory – szepnął. – Kiedy byłem malutki, mój Duży założył mi szeleccki. A potem, któregoś dnia zapomniał mnie w parku.

Tarnobrzeska powoli podeszła do nas.

– Zapomniał cię w parku? – zapytała. – I nie wrócił? Nie szukał?

Rudy pochylił głowę.

– Nie wiem – odpowiedział. – Był wtedy jakiś dziwny. Dziwnie mówił i plątały się mu łapy. To znaczy, nogi. Kiedy odchodził, próbowałem za nim biec, ale przestraszyłem się Psa. Uciekłem na drzewo, a on poszedł dalej.

Wciągnął powietrze z głośnym świstem.

– A potem, kiedy przestałem się bać, zacząłem szukać. Nie znalazłem Domu, ale znalazłem Dużą, która wносиła na dwór jedzenie. Do tego jedzenia było nas sporo. Plątałem się jej pod nogami, ale chyba myślała, że mam Dom. To przez szeleccki... nie odganiała mnie jednak od miski, więc zacząłem przychodzić codziennie. Często mnie głaskała. Wracałem do niej wiele razy. Nawet znalazłem sobie dobre miejsce do spania. Niedaleko – w komórce na drewno. Nie było źle. Miałem, co jeść i gdzie spać. Ale pewnego dnia zaczęło boleć. Najpierw lekko, potem coraz silniej. Coraz trudniej było mi oddychać. Coraz trudniej było chodzić. Bolały plecy i brzuch. W końcu, pewnego wieczora odkryłem tajemnicę. Nie byłem już małym kociakiem. Wyrosłem, a szeleccki zaczęły wrastać w moje ciało.

Spojrzeliśmy na jego blizny. Rzeczywiście, były cienkie i symetryczne, zachodzące aż pod brzuch.

– W końcu walczyłem już o każdy oddech. Tamtego dnia z trudem dowlokłem się pod jej drzwi. Upadłem prosto pod jej nogi, dusiłem się.

Zrobił długą przerwę i otwartym pyszczkiem chwycił małe porcje powietrza.

– Powinieneś się położyć i usnąć – powiedziałam.

Rudy rozejrzał się dokoła. Przeszedł powoli parę kroków. Czułam, że każdy ruch sprawia mu ból.

– Gdzie mogę się położyć? – zapytał.

Odsunęłam się w stronę Tarnobrzeskiej.

– Tutaj – powiedziałam.

Przez chwilę udeptywał sobie postanie, ale nagle zawahał się.

– Jak śpię, to strasznie piszczy mi tam w środku – szepnął i znowu rozejrzał się wokół siebie.

– Jestem stara i głucha – uspokoiłam go. – Głucha jak pień.

Ułożyłam się wygodnie i zaczęłam, aż Rudzielec udepcze sobie swój własny dołek. Tarnobrzeska oblizała kikut łapki i zamruczała:

– I ja też jestem głucha.

Rudy spał. W środku piszczało mu niemiłosiernie. Dławił się śliną, budził i znowu zasypiał. Nad jego głową w mroku świeciły czujne oczy Tarnobrzeskiej. Ale gdy zapadła dłuższa cisza i oddech nie wracał, wstałam i zbliżyłam pysk do jego pyszczka. Drgnął. Przyciskając łapki do szyi łapczywie chwycił powietrze. Otworzył oczy i spojrzał na mnie zaskoczony.

– Mówiłaś, że jesteś głucha – wychrypiął.

– Co on powiedział? – miauknęłam do Tarnobrzeskiej.

– Nie wiem. Nie dosłyszałam – zamruczała.

Na wszelki wypadek powtórzyłam pytanie i wróciłam na swoje miejsce.

- Babuniu... – szepnął Mruczek prosto w moje ucho. – Co ty...
- Jestem głucha jak pień – powtórzyłam i delikatnie ugryzłam go w ucho.
- I ja też – odpowiedziała jak echo Tarnobrzeska.

## ***DZIEŃ SPALONEGO JEŻA***

Naszamamę z Dziećmi i spalonego jeża przywieziono jednocześnie, z tej samej łąki.

Naszamama miała opalone wąsy, osmalone futro na grzbiecie i poparzone łapki. Jeż był na wpół upieczony, ale jeszcze żył, kiedy Duża zamykała za sobą drzwi Zamkniętego Pokoju. Wydawał z siebie ostre piski bólu. Po pewnym czasie ucichły. Dzieci, choć przerażone – były zdrowe i całe, nie licząc może paru nadpalonych włosów na brzuszku.

Tego dnia, kiedy wiosenne słońce zaczęło przygrzewać mocniej, a ziemia wyschła i odsłoniły się mysie nory – matka zabrała je na Polowanie...

Pamiętam ten ranek tak, jakby to było wczoraj. Od wczesnego świtu przygrzewało słońce. Mruczek i Filet, kłapiąc z podniecenia zębami patrzyli na ptaki uwijające się na gałęziach drzewa. Przez uchylony lufcik wpadał do Świetlicy zapach ziemi, trawy i lepkich od soku pąków. Woń spalenizny wiatr przywiał później – ostrą, drażniącą, niemiłą. Wtuliłam nos w łapy, ale zapach i tak docierał do mnie.

– Uwaga! – powtarzał mój Wewnętrzny Głos. – Uwaga, niebezpieczeństwo!

My, zwierzęta, instynktownie boimy się ognia, więc, gdy suche trawy stanęły w płomieniach, czarno-białą kotkę ogarnął paraliżujący strach. Dzieci popiskując, przysunęły się do niej. Rozejrzała się dokoła i drżąc przywarła do ziemi. Serce biło jak oszalałe.

– Uciekaj! – krzyczał jej Wewnętrzny Głos, ale strach obezwładniał tak, że nie mogła ruszyć się z miejsca. Dopiero przeraźliwe piski dzieci wyrwały ją z ośpienia.

– Bierz dzieci i uciekaj! – ponaglał Wewnętrzny Głos.

Chwyciła, więc za kark pierwsze z brzegu i rzuciła się naprzód tam, gdzie języki ognia były jeszcze małe. Nie czuła bólu, tylko swąd spalenizny. Położyła krzyczące dziecko na ścieżce i pobiegła na ratunek drugiemu. Było na wpół przytomne od dymu i żaru, oczy zachodziły mu mgłą, ale piszczalo z przerażenia, gdy po raz drugi pokonywała drogę przez płomienie. Ledwo żywa, z bolącym pyszczkiem i poparzonymi łapami upadła na ziemię obok dzieci. Z tyłu płonęła łąka. Trzeszczały wysokie, suche badyle, tliła się wilgotna jeszcze trawa. Przez syk ognia słyszała czyjś wysoki krzyk bólu.

Obudziła się w obcym miejscu. Sprawdziła, czy są dzieci. Spały obok siebie, jak dwa potargane kłębki wełny. Nie mogła wstać. Nie mogła jeść. Tylko woda przynosiła ulgę poparzonej mordce.

Tak opowiadała Duża, stawiając koszyk z czarno-białą kotką w kąciaku obok mnie.

– To Nasza Mama! – powiedziały chórem kocięta.

Naszamama spała na boku ciężko oddechając. Z pyszczka ciekła jej długa, cieniutka nitka śliny.

– Ona śpi – powiedziało większe kocię.

– Śpi i śpi – dodało drugie, mniejsze.

Duża pochyliła się nad kotką i delikatnie pogłaskała jej łapki.

– Będzie jeszcze długo spać.

Spojrzała na mnie i uśmiechnęła się.

– To bardzo odważna kotka – powiedziała. Podniosła protestujące głośno kocięta i wyszła ze Świątlicy.

Obserwowałam niespokojny sen kotki. W tym śnie jeszcze raz wynosiła dzieci z płomieni, jej łapy nerwowo drgały, ogon poruszał się z boku na bok, a po skórze, jak fale, przebiegały dreszcze.

Nie wiem jak długo siedziałam przy niej. Już miałam wstać i odejść na swoje miejsce, gdy nagle kotka otworzyła oczy, zerwała się i z krzykiem bólu opadła na posłanie. Rozejrzała się nerwowo.

– Twoje dzieci zabrała Duża – powiedziałam – Są całe i zdrowe.

– Całe i zdrowe – szepnęła kotka i jeszcze raz, bezskutecznie próbowała wstać.

– Leż spokojnie – zamruczała Tarnobrzeska.

– Nie dojdę do Piasku – wyszeptała zawstydzona. – Nie mogę.

Otarłam się o jej policzek.

– To nic – powiedziałam. – Przecież bolą cię łapy.

Przez chwilę spoglądałyśmy na siebie w milczeniu. Dopiero teraz zauważyłam, że ma opalone wąsy i że kot bez wąsów wygląda jakoś dziwnie.

– Odrosną – zamruczała Tarnobrzeska.

Duża przyniosła kocięta. Były najedzone i zadowolone, wczepione drobnymi pazurkami w jej niebieski sweter. Po kolei odczepiła wszystkie pazurki, postawiła kocięta na ziemi i zabrała mokre posłanie. Wróciła po chwili z kawałkiem koca i na nowo wymościła koszyk.

– Przepraszam – powiedziała. – Nie powinnam była zostawiać cię samej, bez pomocy.

Troszkę mnie to dotknęło – jak to bez pomocy? A ja? Ale, oczywiście nie mogłabym przenieść chorej kotki do Piasku nie sprawiając jej bólu...

Kocięta tymczasem obwąchiwały Mruczka, Fileta i Rudzielca.

– Czy ty też byłeś na łące? – zapytały patrząc na jego plecy.

– Byłem w parku – odpowiedział.

– Tak dziwnie piszczysz – powiedziało mniejsze kocię.

– Trochę dziwnie – przytaknął Rudzielec. – Ale Duża mówiła, że to mi przejdzie.

Rudy przyjrzał mi się badawczo, ale nie miałam czasu zastanawiać się, dlaczego. Braku zębów nie było widać, pyszczek miałam czysty. Byłam zajęta zapędzaniem kociąt do snu. Przytuliły się do brzucha matki, a ta niezdarnie przygarnęła je łapą. Usiadłam obok czujna, słuchając jak mruczą sennie

- Nasza Mama jest wspaniała, mądra, dzielna, czarno-biała.
- Słyszysz – szepnęłam do Tarnobrzeskiej.
- Tak... – odpowiedziała cichutko i uśmiechnęła się.
- Rudzielec zajął mi głęboko w oczy.
- Przecież jesteś głucha! – powiedział z wyrzutem.
- Czasami – odpowiedziałam i zwinęłam się w kłębek.

## WIOSENNY REMONT SERC

Słoneczna plama na środku Świetlicy była moim ulubionym miejscem. Dlatego wstawałam wcześniej niż inni, robiłam szybką inspekcję – mały spacer, w czasie którego prostowały się zeszywniałe łapy i zajmowałam najlepsze miejsce na ciepłej wysepce na podłodze. O tę plamę walczyli wszyscy, bo promienie wiosennego słońca mile rozgrzewały futro przenikając do samej skóry. Więc, gdy tylko wstałam – a dzień był słoneczny – jak najciszej wędrowałam w stronę słonecznej wysepki.

Tego dnia było podobnie. Ominęłam po cichu Naszą mamę i jej śpiące dzieci. Jak miło było znowu widzieć młode stworzenia... Obserwując je często napotykałam wzrok Tarnobrzeskiej. Kiedy w skupieniu obserwowała śpiące lub bawiące się kociaki w jej żółtych oczach coś zapalało się i nagle gasło. Zaczynała wtedy myć pyszczek i przecierać uszy, albo szła do Piasku, chociaż wiedziałam, że specjalnie nie miała takiej potrzeby...

Przeszłam obok Rudzielca, którego oddech z dnia na dzień robił się coraz spokojniejszy, przeskoczyłam przez łapy Fileta i dotarłam na ulubione miejsce. Niestety – najlepsza, najbardziej wygodna część Słonecznej Plamy była już zajęta. Zajęta – przez Starego Złośnika. Spojrzał na mnie spode łba i przewrócił się na drugi bok. Wyglądał nieco lepiej, widać trochę nauczył się jeść.

Stałam w milczeniu. Stary Złośliwiec rzucił mi jeszcze jedno ponure spojrzenie i wstał.

– Masz już to swoje miejsce! – burknął.

Odszedł parę kroków i usiadł na skraju Słonecznej Plamy.

– Tu jest dużo miejsca – powiedziałam.

Zastanawiał się przez chwilę, ale wrócił. Położył się z dala ode mnie i zaczął czyścić futro.

– Niedługo stąd odejdziesz? – zapytałam, bo słyszałam, jak obie Duże naradzały się, co z nim zrobić, aż w końcu Duża Jasnowłosa orzekła „wypuścić!”.

Stary Złośliwiec nastroszył się, ale w jego oczach zauważyłam błysk niepokoju.

– Oczywiście nie musisz – dodałam. – Możesz zostać w Świetlicy, albo zamieszkać na podwórzu.

Iskierki paniki zgasty i pysek Starego Złośnika przybrał normalny kwaśny wyraz.

– Wolę podwórze – warknął. – Tu jest za duży tłok.

Spojrzałam na jego uszy postrzępione w licznych walkach tak, że przypominały frędzle koca. Przez środek nosa biegła stara blizna, a w wielu miejscach nie odrosło wyszarpane w ulicznych bójkach futro.

– Nie za bardzo mam w czym wybierać – powiedział trochę łagodniej.

Tak, na pewno nie było to łatwe. Zwłaszcza, jeśli miało się taki charakter i zdążyło po drodze porządnie narazić niejednemu.

– Na podwórzu, pod krzakiem Duża zawsze ustawia miski – powiedziałam, a Stary Złośnik ironicznie wykrzywił pysk.

– Duża... Miski, powiadasz... A jak myślisz, świetlicowa pieszczocho, kto z tych misek je? No, kto? Nie myślę, wiem. Nieraz widywałam jak Czekoladowe Kocisko zajadało z apetytem makaron albo kaszę z mięsnymi kawałkami. Teraz – czego chyba zupełnie nie zrozumiał – było to oficjalne zaproszenie, które ja, najstarsza mieszkanka świetlicy mogłam mu złożyć. Patrzył na mnie jeszcze chwilę z hamowaną złością i rzucił

– A dla mnie będą specjalne miski, tak jak tutaj, co? Trzy razy dziennie?

No tak... W miskach wystawianych pod krzakiem były zwyczajne, często twarde kawałki mięsa. Nic dziwnego, że Stary Złośliwiec tak bardzo obawiał się powrotu na ulicę... Duża zadbała o jego dobry stan. Tak jak Mruczek dostawał kolorowe kuleczki, a raz czy dwa na pewno dostał zastrzyk, bo wrócił do świetlicy mruczając pod nosem coś brzydkiego.

– No, na pewno wystawi specjalne miski – powiedziałam. – Duża właśnie taka jest.

Stary Złośnik podszedł bliżej i ruchem łba wskazał okno.

– Urodziłem się tam, po drugiej stronie miasta. Moich braci i siostry utopili, matka zdażyła ze mną uciec. Nigdy więcej nie wróciliśmy do domu. Wyrosłem na ulicy. Matka nauczyła mnie wszystkiego, ale pewnego dnia nie wróciła. Został po niej zapach i rochę sierści na asfalcie. Zostałem sam. Często wybiegałem na środek ulicy i wąchałem tamto miejsce, aż przyszedł deszcz i zmył wszystko. Więc odszedłem stamtąd i trafiłem w te strony.

Gdzieś w środku mojej głowy zaczął wylaniać się obraz małego, nieporadnego kociaka, ale szybko otrząsnęłam się, bo Wewnętrzny Głos podpowiedział mi, że Stary Złośnik nie przyjmie niczyjej litości.

– Nieżle sobie poradziłeś – powiedziałam.

– Musiałem – mruknął. – Ale, jeśli to nikomu nie będzie przeszkadzać, zostaną na podwórku. Te miski, to jedyna sensowna rzecz, jaką możecie mi zaproponować.

Nagle najeżył się. Odwróciłam głowę – w naszą stronę zmierzał Mruczek z niezbyt miłym wyrazem pyska.

– To Wysepka Babuni – wysyczał. – I to Babunia tutaj się wygrzewa.

Stary Złośnik chwile walczył ze sobą. I chyba to była ciężka walka.

– Ale chwilowo rozmawiają tu dwa stare koty bez zębów... – powiedział – ...więc, bądź tak dobry i nie przeszkadzaj.

Mruczek spojrział na mnie zaskoczony i zawrócił. Dywan powoli budził się. Na korytarzu Duża hałasowała miskami, za oknem czekały psy.

Tego dnia słońce grało jakoś mocniej, niż zwykle.

## **DOM POD KRZAKIEM BZU**

Od tamtego dnia dzieliłam Słoneczną Plamę ze Starym Złośnikiem. Dzieliłam – to za dużo powiedziane, bo Stary Łajdak wstawał wcześniej ode mnie, szybko odwiedzał Piasek i truchtem pędził na sam środek Wyspy. Pewien, że nikt go nie obserwuje tarzał się jak mały kociak, podskakiwał polując na muchy, a czasem nawet kręcił się za własnym ogonem. Ale kiedy się tylko poruszyłam Stary Złośliwiec przybierał zwyczajny, kwaśny wyraz pyska i wracał na swoje posłanie.

Dlatego przestałam wstawać zaraz po przebudzeniu.

Od tamtej wiosennej rozmowy minął jakiś czas i Stary Złośnik nie próbował więcej nawiązywać przyjacielskich kontaktów. Owszem, dalej uważnie przypatrywał się, w jaki sposób jem, ale też coraz częściej spoglądał w stronę okna, albo węszył w szparze pod drzwiami. Duża musiała parę razy przechwycić jego spojrzenie, bo pewnego ranka, gdy drzemał na Słonecznej Plamie, podeszła, mocno podrapała go za czymś, co kiedyś było normalnym kocim uchem i otworzyła okno. Stary Złośnik jednym susem znalazł się na parapecie. Zanim wyskoczył na podwórze spojrzał na mnie tak jakoś łzawo, ale zaraz odezwał się po swojemu.

– Słuchaj no, Babuniu – pieszczucho, mam nadzieje, że te miski będą... Nie mogłam się powstrzymać, żeby nie zawołać w ślad za nim

– Dziaduniu, pamiętaj! Na początku tylko małe kawałki!

Filet i Mruczek wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Stary Złośnik oczywiście udął, że nie słyszy, stanął na środku podwórza, rozejrzał się dookoła i szybko pobiegł pod krzak. Bezceremonialnie oznaczył siatkę za krzakiem, skubnął trochę trawy ze skrzynki, którą ustawiła Duża, a potem położył się na ławce. Nie ruszył się z miejsca ani kiedy wyszła na zewnątrz, ani gdy zbliżyła się, by go pogłaskać. Przeciwnie – nadstawił pokancerowany łeb i przymknął oczy.

Przeskoczyłam na parapet i usiadłam w otwartym oknie.

– Trzeba będzie zrobić ci jakiś kąt do spania – powiedziała Duża. – Bo chyba nie bardzo podobało ci się w Świetlicy?

Stary Złośnik rzucił mi ponure spojrzenie. Zlekceważyłam je, tym bardziej, że Kierownik Schroniska zajęchał na podwórze starymi taczkami. Wiózł na nich trochę zniszczona psią budę.

– Może to by się nadało? – powiedział i ustawił budę pod krzakiem bzu.

Duża przyjrzała się z aprobatą.

– Niezłe! – powiedziała.

Stary Złośliwiec nadał się i prychnął. Podeszedł ostrożnie do budy i obwąchał ją z ostentacyjnym niesmakiem, ale gdy Duża weszła do budynku wskoczył na daszek i wygodnie się na nim ułożył.

– Fajne mieszkanko! – pisał Mruczek i przezornie ukrył się za moimi plecami.

Stary Złośnik prychnął i pokazał pazury.

– Uważaj, bo okno jeszcze nie zamknięte!

Prawie na pewno by się pobili, gdyby nie to, że nadeszła Duża z miseczkami. Usta-  
wiła je obok budy. Jedną z wodą, drugą z jedzeniem.

– Tu będą twoje miski – powiedziała.

Stary Złośnik omal się nie uśmiechnął, ale trwało to tylko chwilkę.

– Niech mnie diabli... – mówiła jego paskudna mina – ...jeśli kiedykolwiek wejdę do tej choleralnej budy!

Duża pokręciła się jeszcze trochę po podwórku, przestawiła skrzynkę, w której rosły dla nas pędy młodego, zielonego owsa, poprawiła w budzie koc i usiadła na ławce. Tak naprawdę niewiele różniła się od nas... Zamknęła oczy i pewnie długo siedziała by grzejąc się w słońcu, gdyby nie mała chmurka, która pojawiła się na niebie.

– Chyba będzie padać! – oznajmił Filet popatrując znacząco to na budę, to na Starego Złośliwca.

Duża weszła do środka i zamknęła okno w Świetlicy. W samą porę, bo o parapet zabębniły ciężkie krople deszczu. Stary Złośnik przez chwilę kręcił się pod krzakiem,

z kwaśną miną okrążył budę i – pewien, że nikt go nie obserwuje – wsunął się do środka.

- Ciepły koc, własna Słoneczna Plama na podwórzu i pełne miski – pomyślałam.
- Ostatecznie warte są poświęcenia...

## ***TRZY NA TRZY***

Od tego dnia codziennie rano wskakiwałam na parapet. Po prostu nie mogłam sobie darować widoku Starego Złośnika wychodzącego po kryjomu z psiej budy. Najpierw ostrożnie wysuwał głowę i dopiero, kiedy był przekonany, że nikt go nie widzi wybiegał na podwórze. Oznaczał teren koło siatki, ostrzył pazury o ławkę tak, że aż przyskał zielony lakier i wskakiwał na dach swojego mieszkania. Wtedy zostawiałam go samemu sobie i szłam poleżeć na mojej Słonecznej Plamie.

Prawdę mówiąc, trochę mi go brakowało. Byłam ciekawa kolei jego życia i pewna, że Czekoladowe Kocisko jeszcze niejedno miało do powiedzenia. Ale Stary Złośnik milczał. Czasami nasze spojrzenia spotykały się, gdy szedł do miski i to było wszystko. Najwyraźniej odpowiadało mu takie życie. Dach nad głową i pełna miska po latach spędzonych na ulicy. Spokojna – zawsze bałam się tego słowa, ale nic nie poradzę – spokojna starość. Oczywiście, jeżeli tylko mógł nie przepuścić żadnej okazji, żeby dokuczyć komuś z nas. Ale nikt nie miał do niego właściwie żadnych pretensji, bo przecież on też przez pewien czas był częścią Dywanu. Tylko raz, kiedy wyśmiewał się z Naszej mamy z powodu braku wąsów jedno z Kociąt w odpowiedzi wrzasnęło coś naprawdę bardzo, bardzo brzydkiego. Moim zdaniem miało absolutną rację.

Po Naszą mamę przyszła dziwna Duża – stara, przygarbiona, mimo ciepła otulona w kraciastą chustkę z frędzlami. Długo stała pod furtką szukając dzwonka i pokasłując. W rękę trzymała wielki wiklinowy koszyk, a przez ramię miała przewieszoną torbę.

– Ja względem kota! – zawołała, gdy w drzwiach pokazała się Duża. – Bo macie tu koty, prawda?

Już dawno zauważyłam, że zawsze kiedy ktoś przychodził po kota ruchy Dużej stawały się lekkie, a na twarzy pojawiał się uśmiech.

– Ale... ja nie wiem, czy była pani umówiona? – powiedziała. – Koty owszem, mamy.

Nieznamy drobny krokami powoli weszła do środka. Postawiła na chodniczku wiklinowy kosz i nieśmiało się uśmiechnęła.

– To nieprawda, co ludzie o mnie mówią, że jestem czarownica. Żle samej, starej kobiecie. Pusto.

Szedł od niej zapach ziół i mleka, mleka świeżego, prosto z obory, jaki pamiętałam z dzieciństwa.

– Żle i smutno... – powtórzyła i nagle dostrzegła mnie na parapecie okna.

– O, taka kotka by mi się nadała! – powiedziała, ale Duża pokręciła głową.

Przeszedł mnie dreszcz. Tak chętnie wskoczyłabym w zapach siana, drobny szelest mysich łapek na klepisku stodoły, w uderzenia strumieni mleka o dno blaszanego wiadra.

– Dobra, łowna kotka... – powtórzyła Stara Kobieta nie spuszczać ze mnie oczu.

– Piękna jest nasza Babunia – odparła Duża. – Ale Babunia ma już Dom.

Zakręciło mi się w głowie z wrażenia. Nie słyszałam nic o żadnym Domu! Nie, nic i nigdy!

– Babunia podpisała już umowę adopcyjną, – wyjaśniła Duża.

Nagle stanął mi przed oczami dzień, gdy przebiegałam po papierach w Biurze szukając w Umowach Adopcyjnych czegoś o zakazie łamania ogonów.

– Właśnie podpisałaś umowę adopcyjną! – powiedziała wtedy Duża, ale byłam tak zajęta Białym Kociakiem, że nie zwróciłam na jej słowa uwagi...

– Ale to dobra, łowna kotka – powtórzyła kobieta.

– Łowna, nie łowna... – prychnęło Czekoladowe Kocisko przechodząc koło nóg Dużej – ... ale bez zębów to by tymi myszami sobie nie pojadła!

– Ty byś za to pojadł! – pisnęło jedno Kocię i Stara Kobieta drgnęła.

– Dom, to dom – powiedziała. – Ale pani mi da dobrą, łowną kotkę?

Duża zamysliła się.

– Jest taka kotka... – powiedziała. – Ale ma jeszcze nie wyleczone łapy. No i ma dzieci.

Weszła do Świetlicy i wzięła na ręce Naszą mamę. Kocięta głośno zaprotestowały, ale Tarnobrzeska uciszyła je. Stara Kobieta usiadła na ławce i obejrzała łapy Naszej mamy.

– Wyleczymy... ziołami przemyjemy... – mówiła do siebie, a Nasza mama ułożyła się jej na kolanach.

– Dzieci? – przypomniała Duża, a stara Kobieta uśmiechnęła się. Oczywiście miała wilgotne i niebieskie.

– Dzieci... – westchnęła.

– Kto by tam dzieci od matki zabierał. Same pójdą, gdy przyjdzie pora...

Przypomniałam sobie Dziecko Tarnobrzeską, pewnie już dobrze wyrosnięte. Spojrzałam po kryjomu na Tarnobrzeską, ale była zajęta zabawą z kociakami.

– A dziś by można? – dopytywała się Stara Kobieta.

Duża obejrzała łapki Naszej mamy

– Pewnie by można... – odpowiedziała.

Twarz Starej Kobiety rozjaśniła się.

– Pani pójdzie po dzieci! – poprosiła.

Ale Duża zanim przyniosła Dzieci, zabrała jeszcze z biura dobrze mi znaną kartkę papieru.

– Tu jest wszystko napisane – wyjaśniła. – Że pani bierze kotkę, i dzieci. O tu, proszę przeczytać.

– Czytać nie umiem – stara Kobieta pochyliła głowę. – Ale kotkę biorę, i dzieci też.

Duża usiadła obok i zaczęła jej coś tłumaczyć, a tamta kiwała głową.

– A tu proszę podpisać... postawić jakiś znaczek...

Stara Kobieta ujęła cienki patyczek i poskrobała nim po kartce.

– Tyle nie trzeba! – powiedziała Duża. – Raz wystarczy.

Ale Stara Kobieta pokręciła głową.

– Umowa, to umowa. Papier rządowy. Są trzy, to mają być trzy.

## ***NIESPODZIEWANA ZMIANA POGODY***

Przez tę budę pod krzakiem Stary Złośnik zrobił się jeszcze bardziej wszędobyłski niż Magda. Udając, że śpi spomiędzy liści śledził uważnie wszystko, co się działo na podwórku. Czasami nawet wkraczał na teren Psów i z demonstracyjnie zadartym ogonem przebiegał po dachach bud.

– Kot! Kot! – darły się Psy. Niektóre próbowały nawet capnąć go zębami. Pewnie by to zrobiły, gdyby naprawdę chciały, ale podejrzewam, że takie akcje były dla wszystkich miłym urozmaiceniem. Stary Złośnik ciężkim truchtem uciekał na drugą stronę i jakby nigdy nic zeskakiwał na podwórze.

Ale były też i takie dni, kiedy Stary Złośliwiec obchodził swój teren sztywnym krokiem i coś sam do siebie warczał nie kryjąc irytacji.

– Będzie zmiana pogody? – pytała Duża, a Czekoladowe Kocisko wydawało z siebie ochryply miauk.

– Bolał kości, bolał! – mówiła Duża tarmosząc go za kark. – Biedne stare kości...

– E tam, pobolał i przestanał! – odwarkiwał Stary Złośnik, ale nie uciekał.

Zajęta myślami o Domu coraz częściej przysypiałam na parapecie okna. W głowie przesuwały mi się różne obrazy – wiklinowe koszyki, miski, fotel i jakaś Duża. Jeszcze nie miała twarzy, ale miała już dobre, ciepłe ręce. Kiedy Czekoladowe Kocisko na po-

dworku nadstawiało do głaskania łeb prawie czułam dotyk miłych, ciepłych dłoni na moim grzbiecie.

Tamtego ranka dziwaczne zachowanie Starego Złośnika nie pozwoliło mi skupić się na marzeniach.

Biegał od bramki do drzwi budynku i skakał na kłamkę, powarkując ze zniecierpliwienia. W końcu wskoczył na parapet okna i znowu wydał z siebie serie ponurych dźwięków. Były tak głośne, że Duża zajęta wymienianiem Piasku uniosła głowę.

– Wygląda, jakby zapowiadał kataklizm! – powiedziała.

Wprawdzie nie wiedziałam, co to jest kataklizm, ale na pewno musiało to być coś strasznego, skoro Stary Złośliwiec zachowywał się jak prawdziwy koci wariat.

– Przydałyby się kropelki na uspokojenie – miauknęła Mruczek, a Filet prychnął i przeturlał się tam i z powrotem po podłodze.

Duża jeszcze raz spojrzała w stronę okna. Wtedy Stary Złośnik zeskoczył na dół i wydał z siebie kolejny wrzask. Duża postawiła Piasek i wyszła ze Świetlicy – ku niezadowoleniu Magdy starannie zamykając za sobą drzwi. Kiedy weszła na podwórko Stary Złośliwiec tak gwałtownie rzucił się do niej, że niewiele brakowało, a przewróciłaby się o niego i upadła. Czekoladowe Kocisko tak szybko, na ile pozwalały mu zesztynniałe łapy potruchtowało do furki. Stałam słupka, żeby widzieć co się dzieje, ale krzak bzu przesłaniał mi pole widzenia. Trwało dobrą chwilę, zanim zobaczyłam, że Duża wraca niosąc kartonowe pudełko. Prawie wbiegła do budynku i usłyszeliśmy trzaśnięcie drzwi Zamkniętego Pokoju.

– Co się stało? – zawołałam z nadzieją, że stary Złośnik mnie usłyszy. Ale Czekoladowe Kocisko wbiegło do budynku w ślad za Dużą.

Magda oczywiście była już pod drzwiami i przestępując z łapy na łapę czekała, aż ktoś je otworzy. Ale nikt nie nadchodził.

– Kartonowe pudełko! – zamruczała Tarnobrzeska.

– Tyle zobaczyłam – odpowiedziałam.

Ponownie wyskoczyłam na okno, ale na podwórku wciąż było pusto. Przymknęłam oczy i z całej siły zaczęłam przywoływać Starego Złośnika. Aż mi się w głowie zakręciło od myślenia, ale się nie pojawiał. Za to coś poruszyło się pod drzwiami.

– To on! – syknęła Magda.

Jeden sus, godny młodej kotki i już byłam obok.

– Ej, ty tam! – wyszczałam – Gadaj, co się dzieje?

Stary Złośnik przełknął ślinę, zrobił efektowną pauzę i zachrypiał

– Ludzkie dzieci przyniosły kota, który wypadł z okna – i odszedł.

Prychnęłam z wściekłością. Tylko tyle i ani słówka więcej. Ale Stary Złośnik już taki był.

O tym, że koty wypadają z niezabezpieczonych okien i balkonów wiedzieliśmy wszyscy, ale nigdy dotąd nikt taki nie przybył do naszego Schroniska. Może dlatego, że po upadku z dużej wysokości umierały na miejscu, albo odczołgiwały się gdzieś daleko, aby odejść w samotności. A może dlatego, że miały swoich Ludzi, którzy od razu zaczęli je ratować? Trochę mnie to dziwiło, bo kto jak kto, ale Ludzie powinni wiedzieć, że czasami wystarczy jeden przelatujący motyl czy muszka, gołąb albo wróbel, który na chwilkę przysiadł na balustradzie balkonu. Wystarczy jeden skok i łapy tracą oparcie. Leci się w dół. To wcale nieprawda, że zawsze spadniemy na cztery łapy. Czasami po prostu brakuje czasu, żeby odpowiednio się ustawić.

– Ludzie powinni to wiedzieć! – powiedziałam do Magdy.

– Powinni – zgodziła się i czując, że nikt nie nadejście wróciła na swoją belkę.

Zostałam pod drzwiami sama. Mój nos przechwytywał zapach Zamkniętego Pokoju. Siedziałam tak martwiąc się, czy w moim Domu nie wypadnę z okna? W końcu na korytarzu rozległy się kroki Dużej.

– A ty co tu robisz? – usłyszałam, jak mówi do kogoś. Zorientowałam się, że to Stary Złośnik płacze się po korytarzu.

W odpowiedzi rozległo się ochryple miauknięcie.

– No tak, no tak... – głos Dużej rozlegał się tuż znad podłogi. – W końcu to ty sprowadziłeś pomoc.

Pomyślałam, jak bardzo musi być w tej chwili napuszony. Pomieszkał parę dni na podwórzu, a już zaczął się zachowywać tak, jakby ten cały teren należał do niego. Zgroza – w świetlicy Magda, a na zewnątrz Stary Złośnik.

– Wybiła sobie zęby i odgryzła połowę języka – opowiadała Duża Staremu Złośnikowi. – Ma połamane łapy, ale chce żyć.

– Kto by tam nie chciał żyć! – prychnął w odpowiedzi Złośliwiec.

– Kto by tam nie chciał żyć... – powtórzyłam po cichu i przed moimi oczami przesunęły się znajome postacie.

A Stary Złośnik był już na podwórzu udając, że nic nie wytrąciło go z równowagi. Podrapał w ławkę i wyskoczył na dach budy.

– Będzie zmiana pogody – powiedziała do siebie Duża wracając do Zamkniętego Pokoju.

Tarnobrzeska spojrzała na mnie z zadumą.

– No popatrz, popatrz... – powiedziała. – Chyba zrozumiał, że nigdy nie przestaje się być częścią Dywanu.

– Częścią wszystkiego... – wyszeptał Mruczek i ułożył się na moim ognie.

Stoneczna pogoda trwała bardzo, bardzo długo.

## **PIŁECZKA**

Skończyłam jeść i siedząc na parapecie okna myłam sobie pyszczek. Nagle usłyszałam wrzask Fileta.

– Piłkę nam przywieźli! Mruczek, piłkę nam przywieźli!

W pierwszej chwili nie rozumiałam, co takiego niezwykłego było w tym, że ktoś przywiózł nam kolejną piłkę? Zabawki pojawiały się w Świetlicy często, a piłki były równie popularne jak myszki.

Dopiero, gdy usłyszałam czyjeś zakłopotane miauknięcie, odwróciłam głowę. Zamrugałam ze zdziwienia – w połowie drogi do Piasku siedziała ciężko dysząc czarno-biała kotka, tak gruba, że rzeczywiście przypominała piłkę. Naprzeciw niej przycupnął Filet.

– Mruczek! – wołał. – Chodź, pobawimy się!

– Daj mi spokój! – wydyszała z trudem kotka. – Nie zaczepiaj mnie.

Mruczek zbliżył się z lekko najeżonym futerkiem i obwąchał nowo przybyłą.

– Nie mogę przed tobą uciec – powiedziała smutnym głosem. – W ogóle trudno mi się poruszać...

– Ale zawsze możemy cię troszeczkę poturlać! – miauknął Filet.

Gruba kotka z rozpaczą zamknęła oczy.

– Daj spokój, Filet! – poprosił cicho Mruczek. – Ona nie chce się bawić.

– Chciałabym móc się bawić – powiedziała żałośnie. – Ale nie dam rady...

Jej brzusek zwisał aż do ziemi, a łapki, nieproporcjonalnie cienkie ugięły się, gdy szła.

Ciężko łąpała oddech i co chwila przystawała z otwartym pyszczkiem.

– Co ci się stało? – zapytała troskliwie Tarnobrzeska. – Kto ci to zrobił?

Gruba kotka westchnęła i opuściła łepki.

– Ja... Lubię jeść. Bez przerwy jem. Jem wszystko.

– Ale, czemu? – dopytywał się Mruczek.

– Nie wiem. Duzi zawsze dawali mi dużo jedzenia.

Zeskoczyłam ze swego miejsca i zbliżyłam się do nowej. Obwąchała mnie i przysiadła na zmęczonych łapkach.

– Na pewno znajdzie się na to rada – powiedziałam. – Mówisz, że miałaś Dom, miałaś ludzi... Dlaczego się tu znalazłaś?

– Oddali mnie, jak zaczęłam chorować. Kiedyś cieszyli się, że jestem grubiutka, ale potem oddali mnie innym Dużym, tamci znowu innym Dużym. W końcu trafiłam tutaj.

Przerwała, żeby złapać oddech. Przychodziło jej to z wielkim trudem.

– Mówili na mnie Piłeczka. Że niby nie idę, tylko się toczę, I to prawda – dodała żałośnie.

Przyjrzałam się jej uważnie i pomyślałam sobie, że mimo to i tak jest bardzo ładna i miła. Jakoś nie mogłam zrozumieć, w jaki sposób doprowadzono ją do takiego stanu? Poczekalam, aż wróci z Piasku i pomalutku podreptałyśmy w stronę mojego kąta. Siedzący po zewnętrznej stronie okna Stary Złośnik brzydko się wykrzywił, ale w jego żółtych oczach błysnęło coś na kształt współczucia.

Z trudem wdrapała się do koszyka i dłuższą chwilę ziała jak pies.

– W dodatku znowu chcą mnie zabrać do jakiegoś Domu i znowu będę Piłeczka, której wyginają się łapy.

Usiadłam naprzeciw koszyka i chwilę pomyślałam.

– Duża, która się nami opiekuje jest dobra i mądra. Na pewno nie odda cię komuś, kto cię będzie krzywdzić. Niewielu z nas znajduje nowe Domy, ale te, które się trafiają są naprawdę dobre.

Cichutko, z nastroszonymi wąsikami zbliżył się Mruczek. Obwąchał koszyk Piłeczki i uśmiechnął się.

– Znam taką zabawę, przy której nie trzeba biegać!

Kotka nadstawiła uszu.

– Tylko musisz wyjść z koszyka i usiąść na podłodze.

Piłeczka posłusznie wygramoliła się z koszyka i zamarła w oczekiwaniu. Mruczek wysunął w jej stronę łapkę.

– Będziesz łapać moją łapkę. Tak bawiłem się z Babunią, kiedy byłem chory.

Piłeczka niezdarnie machnęła łapką.

– O to chodzi! – pisała Mruczek. – To naprawdę dobra zabawa.

Zostawiłam ich machających łapkami i ucięłam sobie małą drzemkę. Przez sen słyszałam jak miauczą i popiskują i jak Magda prycha narzekając na hałas. A potem przyszła Duża i zabrała Piłeczkę do Zamkniętego Pokoju. Z bijącymi mocno sercami czekaliśmy na jej powrót. Gdy w końcu potoczyła się spod drzwi w naszą stronę Filet nie wytrzymał i biegnąc jej na spotkanie wywinął śmiesznego koziołka.

– No i co? Co ci powiedziała?

– Duża nadwaga – odpowiedziała poważnie. – I będę dostawać Specjalne Jedzenie, jeśli ktoś je dla mnie kupi, bo jest bardzo drogie.

Wszyscy w Świetlicy dobrze wiedzieliśmy, że jeśli coś jest bardzo drogie Duża robi się smutna. Po prostu w schronisku nie było Pienędzy. Pieniądze to takie kółeczka i papierki. Nie bardzo rozumiem, dlaczego decydują o tym, że ludzie są smutni albo weseli? Kółeczka najlepiej nadawałyby się do zabawy, a papierki można byłoby zwinąć w kulki i gonić za nimi po podłodze. Ale ludzie pewnie jeszcze tego się nie domyślili.

Przez kilka Dni duża sama przynosiła Piłeczce Specjalne Jedzenie i dawała jej po odrobinie na osobną miseczkę. Piłeczka narzekała, że jest głodna, ale bawiąc się z Mruczkiem szybko o tym zapominała. Filet od czasu do czasu turlał się po podłodze jak prawdziwa piłka, ale kotka chyba nie była tym urażona. Trochę się uśmiechała, a trochę udawała, że nie widzi.

Pewnego popołudnia Duża weszła do świetlicy w towarzystwie innej Dużej i oznajmiła, że Piłeczka jedzie do Domu. Jest taki Dom, który będzie kupować Specjalne Jedzenie. Wskazała na Piłeczkę i uśmiechnęła się.

– No i to jest właśnie ta kółeczka!

Jej towarzyszka schyliła się i pogłaskała Piłeczkę po grzbiecie.

– No i co? – zapytała. – Pewnie jeszcze nie znalazłaś przyjaciół, a tu czas w drogę. Piłeczka odwróciła się do Mruczka, wysunęła łapkę, którą szybko przytrzymała pazurkami. Duża uśmiechnęła się trochę zakłopotana i pomogła Piłeczce wejść do koszyka.

– Zobaczysz! – powiedziała. – Za jakiś czas będziesz skakać jak piłeczka.

Kotka lekko się nastroszyła, a Filet parsknął śmiechem.

– No, nie gniewaj się! – zamruczał przyjaźnie. – W łapki to ty jesteś lepsza ode mnie!

Gruba kotka w odpowiedzi zamruczała tak pięknie, jak od dawna nikt w naszym kącie nie mrucał.

## ***KOLOROWE OBRÓŻKI***

Nie trzeba naprawdę wiele sprytu, żeby zorientować się, kto wkrótce wyjedzie do Domu. Po prostu komuś takiemu Duża poświęca więcej czasu niż innym. Szczotkuje mu futerko, dokładnie czyści uszy, doprowadza do porządku pazurki – tak, jak to było z Pręgowanym Kotem z Pudełka. To wcale nie jest oszustwo. Skoro jeden z nas jedzie do Domu, nie może straszyć swoim wyglądem, bo Dom mógłby się rozczarować. A wtedy naprawdę nie wiadomo, co mogłoby się wydarzyć. Duża, choć kochała nas wszystkich, naprawdę nie miała czasu, żeby codziennie pielęgnować cały Dywan. Więc, każdy radził sobie tak, jak umiał.

O tym, że ja i Tarnobrzeska mamy swoje Domy Duża powiedziała nam w specjalny, bardzo uroczysty sposób. Przyszła w niedzielę ubrana jakoś inaczej niż zwykle, porozdzielała karmę i do każdej miseczki wsadziła po kawałeczku jajka. Powiedziała, że to taki zwyczaj u Ludzi i że nam wszystkim – a zwłaszcza tym, którzy już niedługo pojedą do Domów, życzy przede wszystkim zdrowia. To akurat było bardzo ważne, bo w zachodniej części Dywanu kilkoro zaczynało chorować.

Wiecie, kiedy tak opowiadam – wam, Ludziom może się wydawać, że dla nas bezdomnych kotów, nie ma na świecie lepszego miejsca niż Świetlica. To nieprawda. Duża też o tym wie, dlatego tak bardzo stara się jak najwięcej z nas umieścić we własnych

Domach. Często powtarza, że Świetlica to tylko przystanek w drodze do Domu. Oczywiście są wśród nas tacy, którzy spędzą na tym przystanku całe życie...

My, po prostu nie mamy na to żadnego wpływu. Nie możemy nic woleć, możemy tylko czekać. Czekać, mając nad głową dach, jedzenie w misce, siebie. Nasze serca przepelnia tęsknota i miłość, którą tak bardzo chcemy komuś ofiarować. Siedzimy, więc na naszym przystanku wdzięczne, że deszcz nie pada na głowę, że nie przymieramy głodem i czekamy, aż ktoś przyjdzie i zakocha się.

Tak mówi Duża – zakocha się. Bo podobno wam, Ludziom wystarczy tylko spojrzeć na Dywan i już dostrzegacie tego jednego, jedynego. Świetlicowe opowieści głoszą, że bywało, że ktoś kto nie mógł podjąć decyzji zabierał dwoje z nas. Ale, ja takiego zdarzenia nie pamiętam. Pewnie tak bywało dawno, dawno temu...

Tych, którzy chorowali, Duża zabierała do Biura, żeby nie pozarażali innych. Ale mimo to nie wszyscy z nas byli zdrowi. Ci, którzy łykali kolorowe kulki mieli na szyjach obróżki w odpowiednich kolorach, żeby Duża nie pomyliła, które kulki są dla kogo. Tak zupełnie zdrowych było pośród nas niewiele – a ci, którzy przychodzili nowi zaraz łapali katar albo jeszcze coś gorszego. Większość z nas miała jakąś przypadłość: załzawione oczy, albo zapchany nos, co uniemożliwiało dokładne wyczyszczenie futerka. No, bo jak tu się dokładnie umyć, jeśli nie można swobodnie oddychać?

Obie Duże naprawdę robiły, co mogły – od rana przemywały oczy, nosy, sprawdzały jak czują się ci, którzy noszą kolorowe obróżki. Czasami zabierały niektórych do Zamkniętego Pokoju. Po jakimś czasie wracali. Wychudzeni, ze zmatowiałą sierścią, ale pełni woli życia, bo, jak powtarzam za starym Złośnikiem

– Kto by nie chciał żyć?

Z tą chęcią jednak bywało różnie. Czasami zbyt długie czekanie, albo nagłe rozstanie ze swoim Człowiekiem sprawiały, że traciło się nadzieję. Wtedy ciało poddawało się...

Kiedy wieczorem Dywan usypiał, oprócz mrużenia słychać było chrypienie, pokastywanie i sapanie. Tak więc Świetlica była i nie była najlepszym dla nas, kotów, miejscem...

W moim kącie na szczęście wszyscy byli zdrowi. Mruczek coraz rzadziej łykał kolorowe kuleczki, Filetowi kończył się katar, Rudzielec oddychał coraz swobodniej. A ja? Oprócz porannej sztywności łapek zupełnie nic mi nie dolegało. Z Tarnobrzeską, moim zdaniem też było wszystko w porządku. No, może zbyt często odwiedzała Piasek, ale nie skarżyła się na nic...

Kiedy Duża oznajmiła, że mamy Domy serce zabiło mi mocno. We mnie podobno ktoś się zakochał, a Tarnobrzeska została kupiona. Na allegro.

– Za złotówkę – powiedziała Duża.

To chyba było bardzo dużo, bo Magda kiedyś podsłuchiwała, że na jedzenie dla każdego z nas w schronisku potrzeba codziennie właśnie złotówkę. Mój Dom był podobno bardzo daleko i mieszkało już w nim kilka kotów. Dom Tarnobrzeskiej był bliżej.

Kiedy Duża sobie poszła, umyłyśmy sobie pyszczki i położyłyśmy się na samym środku Słonecznej Plamy. Nagle moja radość zamieniła się w głęboki smutek. Poczulałam, że wcale aż tak mi się nie śpieszy, przecież w moim przyszłym Domu są inne koty, które mruczają do ucha swojej Dużej, więc mogłaby jeszcze trochę poczekać. Tylko tyle, żeby Mruczek, Filet, Rudzielec i Tarnobrzeska znaleźli się też w swoich Domach. Pewnie gdzieś daleko niepokoiłby mnie ich los. Tak, wolałabym wyjechać wiedząc...

– Babuniu... – szepnął Mruczek wpychając się między mnie i Tarnobrzeską. – Ja bym nie chciał wyjechać do Domu, zanim ty nie wyjedziesz. Bo mój Dom ciągle o mnie pyta, a o twoim nic nie wiem.

Oblizalam mu pyszczek i zobaczyłam, że Duża zdjęła mu kolorową obrózkę. Mruczek był już zdrowy i pewnie dlatego tej nocy mocniej niż zwykle przyleżał mój biedny ogon.

## SMUTNY KOT

Na widok Dużej ze zgrzebelkiem w ręku Filet wycofał się parę kroków do tyłu. Przemaszerował mi po łapkach, ale był tak zdenerwowany, że nawet nie zareagował na mój protest. Ale Duża szła w kierunku Rudzielca. Rudzielec dumnie uniósł ogon i zapraszająco zagruchał. Zauważyłam, że jego blizny zaczęły powoli porastać sierścią, a brzydkie rany pod pachami dobrze się goiły.

Przez uchylony lufcik dochodziły poranne złożczenia Starego Złośnika, który czo-chrając się o ścianę budy zapowiadał nieuchronną zmianę pogody. Nie mogę powiedzieć, żebym nie lubiła deszczowych dni. Czas płynął dokładnie tak samo, może tylko stuk kropli spadających na dach sprawiał, że robiło się sennie. Ale na razie jeszcze świeciło słońce.

Rudzielec prawie usnął na kolanach Dużej wywrócony brzuchem do góry. Kiedy przycinała mu pazurki jednej łapy pozostałe trzy uniesione w górę bezwiednie maszerowały w powietrzu.

– Trzeba się zbierać do domku... – mówiła Duża – ...bo jesteś gotów na coś mi zachorować...

Więsci o chorych nie były zbyt dobre. Magda oznajmiła, że widziała jak robią im zastrzyki, a wiadomo, że po nie sięga się w poważniejszych przypadkach kiedy już nie wystarczą kolorowe kulki.

Przykro mi się zrobiło, bo nie znałam wszystkich ze Świetlicy. Nawet dla Dużej było nas zbyt wielu. Niektórzy przez to jak wyglądali, albo przez swoją historię bardziej rzucali się w oczy i tych zapamiętywano, więc po prostu nie wiedziałam, kto był chory i nawet nie było wiadomo, kogo o to pytać...

– Lepiej pomyśl o sobie – powiedziała Magda, kiedy zwierzyłam się jej w chwili naprawdę wielkiej słabości. – Czy ktoś martwi się tobą?

Pomyślałam chwilę. Nie, Magda nie miała racji. Miałam przecież Mruczka, Tarnobreską i Dużą. A od czasu do czasu nawet Stary Złośnik rzucał mi przeciągłe, ponure, ale porozumiewawcze spojrzenie. Oczywiście nie odezwałam się. Magda żyła w swoim świecie i w ten sposób broniła się przed rozczarowaniem. Kiedy przyglądała się Rudzielcowi na kolanach Dużej dostrzegałam jakąś iskierkę w jej oczach. Mrużyła je i cicho pomrukiwała, jakby to jej dotykały ciepłe, ludzkie ręce. Znowu pomyślałam o chorych. Tym razem było to tak silne, że wstałam i powędrowałam do Zachodniego Krańca Dywanu. Wokół kilku posłań unosił się zapach choroby.

– Kto to może być? – pomyślałam. Przymknęłam oczy próbując odtworzyć w myślach brakujący fragment Dywanu, gdy coś poruszyło się obok mnie.

Otworzyłam oczy. W kąciку, wtulony plecami w ścianę siedział szary kot. Nie wyglądał na chorego, ale był przeraźliwie smutny.

– Odszedł Kubuś – powiedział cichutko. – I Bigos.

Obwąchałam jego smutny pyszczek.

– Bigos miał już domek – szepnął. Popatrzył na mnie ogromnymi, zielonymi oczyma. – To niesprawiedliwe.

Byłam pewna, że nigdy wcześniej nie spotkałam tego kota. Kiedy powiedział, że jest z nami od dawna, znowu poczułam się nieswojo.

– Dawno temu... – wyjaśnił – ...miałem swój Dom. Moja Duża odeszła. Za Tęczowy Most. A mnie oddano tutaj.

Usiadłam tak blisko Smutnego Kota, że dotykałam go czubkami wąsików. Mówił mało i cichutko, jakby do samego siebie. Opowiadał, jak dzień po dniu tracił nadzieję.

– A Dywan? – zapytałam. – Śniłeś kiedyś z nami?

Skinął głową. Futro miał matowe i posklejane.

– Śniłem, ale nawet we śnie nie widziałem swojego Domu. Wtedy przestałem śnić.

– Umyj się – powiedziałam. – Bo Duża pomyśli, że jesteś chory.

– I da ci zastrzyk! – pisał Mruczek, który od chwili kiedy dowiedział się, że mam Dom nie odstępował mnie na krok.

Ale Smutny Kot nie zareagował.

– Umyj się – powtórzyłam. – A potem przyjdź na Słoneczną Wyspę.

– A gdzie to jest? – zapytał cicho.

Wtedy dotarło do mnie, że pewnie bardzo rzadko opuszczał swój ką.

– Chodź! – zaprosił go Mruczek. – Umyjesz się już na Wyspie.

Smutny Kot wyszedł z kącika i podreptał za Mruczkiem. W drodze na Słoneczną Plamę minęli Dużą z Rudzielcem na kolanach. Duża postawiła Rudzielca na ziemi i uważnie przyjrzała się Smutnemu Kotu.

– Ojej! – powiedziała i pogłaskała chudy grzbiet. – To ty tu jeszcze jesteś, kotku?

Smutny Kot zajął jej głęboko w oczy.

– Myślałam, że uciekłeś... – szepnęła. – Gdzie byłeś cały czas?

– A dokąd mógłbym uciec? – mówiło spojrzenie zielonych oczu.

– Tak... – zamyśliła się Duża. – Numer 157. Kotek oddany po śmierci swojej pani. To musisz być ty. Pamiętam, jak cię przyniesiono. Podchodziłeś do każdego człowieka i prosiłeś, żeby zabrał cię do domu.

– Potem przestałem podchodzić – powiedziały smutne oczy. – Nikt się mną nie interesował.

Duża gwałtownie drgnęła, jakby usłyszała jakiś głos. Jakby dotarły do niej jakieś odległe słowa.

– Zaszłyś się w kąciku. Na pewno najmniejszy i najciemniejszy. Jak więc mogłam cię dostrzec?

Smutny Kot z zakłopotaniem oblizwał nos.

– Musisz zadbać o futerko! – Duża podrapała go za uszkiem.

Tego dnia Smutny Kot mył się długo i starannie. Siedział z nami Słonecznej Wyspie, a gdy nastał wieczór ułożył się blisko nas.

– Może jest gdzieś dla mnie Dom? – zamruczał sennie.

– Na pewno jest! – odpowiedziałam.

Na zewnątrz Stary Złośnik pyskował jakiemuś Psu. Na chodniku slychać było czyjeś kroki.

– Może to mój człowiek idzie? – rozmarzył się Smutny Kot.

– On na pewno gdzieś jest – szepnął Mruczek i popchnął w stronę Smutnego Kota swoją futrzaną myszkę.

– Weź ją! – powiedział. – Jest jak prawdziwa, tylko Filet kiedy się bawił poobgryzał jej uszy.

Smutny Kot zacisnął pazurki na myszce.

– Miałem taką samą – szepnął. – Wtedy, kiedy miałem Dom. Ale nie pamiętam już, co się z nią robi?

Mruczek wystrzelił do góry jak sprężyna. Chwyił myszkę, rzucił i skoczył za nią. Rzucił jeszcze raz i spojrzał na Smutnego Kota.

– No dalej! – zawołał. Smutny Kot niezdarnie wyciągnął łapkę.

– Dalej, łap ją! – wrzasnął Filet.

Łapy Smutnego Kota powoli przypominały sobie dawne zabawy. Trwało bardzo długo, zanim skoczył. A potem w pogoni za myszką podzucaną przez Mruczka przebiegli tam i z powrotem przez Świetlicę.

– Co wy wyprawiacie! – warknęła Magda. – Marsz do spania! Bo zejść do was na dół!

Porządnie się najeżyłam, na wypadek, gdyby naprawdę chciała zejść.

– Magda! – prychnęłam. – Chociaż dzisiaj odpuść, dobrze? Bo w końcu wejść do ciebie na górę.

– Cała Babunia! – syknęła Magda i odwróciła się tyłem.

– Cała Magda – pomyślałam.

Przecież w końcu Mruczek i Smutny Kot nie biegali po suficie. Zresztą zabawa nie trwała długo. Smutny Kot szybko się zmęczył. Nic dziwnego, skoro tyle czasu nic nie robił, tylko siedział w kącie.

– Spij... – powiedział zdyszany po zabawie Mruczek. – Jutro będzie nowy dzień.

Zanim usnęłam spojrzałam w stronę okna. Na parapecie czerniała sylwetka Staro Złośnika. Jego oczy błyszczały odbijając światło gwiazd. Dywan pulsował mrużeniem, falował. Nasze sny unosiły się w ciemnościach. Sto osiemdziesiąt pięć snów. Trwało bardzo długo, zanim dołączył do nich jeszcze jeden. Mały, nieśmiały, płochliwy sen Smutnego Kota.

## ***TAJEMNICZE SIENNIKI***

Tajemnicze sienniki pojawiły się wcześniej rano. Ktoś przerzucił je przez bramę schroniska. Były nieduże, z grubego materiału w szaro-niebieskie paski, szyte grubą, lnianą nitką. Z daleka trudno było zgadnąć, co miały w środku, ale kiedy Duża wniosła je do Świetlicy okazało się, że były wypchane sianem. Wspaniałym, suchym sianem, szeleszczącym przy każdym ruchu, poddającym się ciężarowi ciała i ustępującym pod naciskiem łapek. Oczywiście jeden z nich – ten, który padając znalazł się na wierzchu pachniał Starym Złośnikiem. Czekoladowe Kocisko chyba nie mogło powstrzymać się od wypróbowania, na czym to będą spać świetlicowe pieszczochy. Ale na szczęście nie oznaczyło go jako swojej własności. Duża z uśmiechem obejrzała nowe postania i rozejrzała się po Świetlicy. Zapach siana był tak silny, że większość z nas zaczęła gwałtownie węszyć z uchylonymi pyszczkami.

– No i mamy problem – rzekła Duża patrząc na sienniki i na nas wszystkich.

Schyliła się po jeden i zaniosiła go do zachodniego kąta, tam, gdzie byli chorzy. Jeszcze nie zdążyła dojść do następnego kąta, a na sienniku już tłoczyło się kilku ozdrowieńców. W końcu przyszła kolej na nasze miejsce. Starannie obwąchałam siennik. Usiłowałam przypomnieć sobie ten zapach. Zapach na pewno znajomy. Mruczek bawił się zwisającą nitką. Tarnobrzeska ułożyła się na jednym rogu siennika, a na jej

pyszczku pojawił się tajemniczy uśmiech. Zapach plątał mi się w głowie, natrętny, znajomy, przywoływał mgliste obrazy.

Nagle dotarła do mnie woń Zamkniętego Pokoju. Uniósłam głowę. Na środku Świetlicy stała szaro-bura bida. Patrzyła na mnie, na Tarnobrzeską i na Mruczka. Nie mówiła nic, tylko leciutko poruszała ogonem.

– No witaj! – powiedziała zapraszająco Tarnobrzeska i przycisnęła siennik łapą.

Kocia Bida podeszła parę kroków w naszą stronę i bezgłośnie otworzyła pyszczek.

– No, wygadaj się wreszcie! – ponaglił ją Filet. Przeturlał się tuż pod nosem Kocie Bidy tam i z powrotem.

– Taki fajny ze mnie gość... – zamiauczał – ...że na mój widok odebrało jej mowę.

Kocia Bida przekrzywiła łepkę i poruszyła wąsikami. A potem wymamrotała coś, czego nikt nie rozumiał. Czekoladowe Kocisko wskoczyło z łoskotem na parapet. Kocia Bida spojrzała na mnie, na okno, na Starego Złośnika i znowu coś wymamrotała.

– Wiem! – olśniło mnie nagle. – To ty wypadłaś z okna!

Kocia Bida poważnie pokiwała głową. Była tak chuda, że kręgosłup sterczał jej przez skórę.

– Możesz tu zostać – odezwał się Mruczek, ale Kocia Bida rozejrzała się po świetlicy w poszukiwaniu Dużej.

– A, tu jesteś! – powiedziała Duża podnosząc ja z podłogi. – Pójdziemy cos zjeść a potem możesz tu wrócić.

– Chcesz wrócić? – zapytałam ocierając się o nogi Dużej.

Kocia Bida skinęła głową. Przechwyciłam nagle spojrzenie starego Złośnika. Nie wiem czy zawstydził się tego, co w nim wyczytałam, czy ktoś przeszedł ulicą. Zniknął tak nagle, jak się pojawił.

Kocia Bida wróciła bardzo szybko. Cichutko zbliżyła się do siennika i pytająco spojrzała na Tarnobrzeską. Tarnobrzeska ponowiła zaproszenie.

– Nasze okno jest na parterze – powiedziała. – Możesz na nie wskakiwać i patrzeć, co się dzieje na zewnątrz. Z tą na belce lepiej nie zaczynać, bo fuczy o byle co. A to...  
– wskazała na mnie – ....to jest Babunia.

Kocia Bida poruszyła noskiem.

– Właśnie dostaliśmy nowe sienniki – powiedziałam. – To one tak pachną.

Kocia Bida przysiadła na skraju siennika. Chyba była bardzo słaba, bo drżały jej łapki.

– Duża doprowadzi cię do porządku – odezwał się cichutko Smutny kot.

Kocia Bida pokiwała głową.

– Nie musisz nic mówić – powiedziałam. – Po prostu bądź z nami.

Pomyślałam, że w naszym kącie musiało być coś szczególnego, co przyciągało wszystkich zagubionych. No, może z wyjątkiem Fileta, który trzymał się blisko nas ze względu na Mruczka.

Nawet Magda, choć miała do wyboru wiele innych belek pod sufitem wybrała tę blisko nas.

– Chodź bliżej... – zamruczała Tarnobrzeska. – Umyję ci futerko.

Kocia Bida posłusznie nadstawiła grzbiet. Przyglądałam się, jak Tarnobrzeska doprowadza do porządku koci szkielecik i nowa fala zapachu zakręciła mi w nosie. Spośród woni siana, ziół i trawy przebijał zapach kociego futra – zapach Naszej mamy i jej dzieci. Spojrzałam na Tarnobrzeską.

– Słuchaj! – powiedziałam. – Ten zapach to...

– Wiedziałam od początku! – uśmiechnęła się.

– Tak, naprawdę pięknie pachną – rozległ się nad naszymi głowami głos Dużej.

Tarnobrzeska spojrzała na nią przeciągle swoimi pięknymi, żółtymi oczyma.

Duża przycisnęła dłońią siennik. Zaszleściło.

– Żeby takiej prostej rzeczy nie zgadnąć! – pomyślałam.

Tej nocy Świetlica pachniała świeżym sianem, a nasze sny buszowały w stodołach pełnych myszy.

## *DOM PRZYJECHAŁ PO RUDEGO*

Tajemnicze sienniki chyba rzeczywiście miały w sobie jakąś moc, bo spało się na nich mocno i bez złych snów. Nasze futerka nabrały zupełnie innego zapachu i tak przyjemnie było wieczorem mościć sobie w nich dołki. A zioła wsunięte w siano były dokładnie takie, jakie my, koty, lubimy. Nic więc dziwnego, że ozdowieńcy szybciej wracali do siebie, a zdrowi nabierali nadziei. Nawet Smutny Kot, choć nadal mówił niewiele, zaczął poruszać się bardziej sprężysto. Raz nawet zapuścił się na belkę Magdy.

– Zejdź do nas! – poprosił cichutko, ale szybko go ofuknęła.

Smutny Kot stropił się, zeskoczył na dół i zaczął się nerwowo myć.

– Magda już taka jest – powiedziałam.

– Nie musisz mnie pocieszać, Babuniu – szepnął. – To ja chciałem ją pocieszyć.

Otarliśmy się o siebie. Smutny Kot wygiął cieniutki ogon. Kocia Bida nieudolnie próbowała bawić się myszką, bo połamane łapki nie odzyskały jeszcze całkowitej sprawności. Na pewno ją bolały, bo w nocy wielokrotnie zmieniała pozycję, ale spała mocno i twardo. Tarnobrzeska z pomocą Dużej doprowadziły jej futerko do porządku. Chociaż codzienne czesanie było zarezerwowane dla wyjeżdżających Kocia Bida dostawała swoją porcję pierwsza. Sama podchodziła do Dużej, delikatnie trącała ją łapką i zaczynała mruścić. Takiego pięknego, melodyjnego mrużenia nikt z nas jeszcze nie słyszał.

– Śpiewaj, malutka! – zachęcała ją Duża, a Kocia Bida wdzięcznie unosiła łepkę.

Potem odbywała się nauka jedzenia. Duża podawała jej małe kawałeczki, Kocia Bida brała je delikatnie bokiem pyszczka i przelykała. Po każdym przełknięciu Duża głaskała jej chudy grzbiet.

Smutny Kot siedząc u stóp Dużej uważnie obserwował Kocią Bidę.

Pomyślałam sobie, że chętnie zrezygnowałabym ze swojego domu na rzecz kogoś z nich, ale oczywiście nie mogłam nic zrobić. Mogłam tylko życzyć sobie, żeby obydwójce w ogóle znaleźli Domy.

Kocia Bida śpiewała na kolanach Dużej najedzona i szczęśliwa, dopóki Duża nie uznała, że już dosyć. Postawiła Kocią Bidę na sienniku i zajęła się Rudzielcem. To był jego wielki dzień. Transporterek stał gotowy przy drzwiach Świątlicy, a Dom co jakiś czas zawiadamtiał, że jest w drodze. Rudzielec usiadł obok mnie, bardzo przejęty.

– Babuniu... – mówił. – Ja dzisiaj zasnę w swoim Domu... Będę mieć własną miseczkę...

Nagle urwał i posmutniał.

– Ale takiego spania już nie będzie...

Trąciłam go nosem i poradziłam, żeby porządnie wytarzał się na sienniku.

– To wystarczy, żebyś zapamiętał ten zapach. Potem nocą, gdy wszyscy usną wtulisz nos w łapki...

Rudzielec dotknął nosem mojego nosa.

– Babuniu! – powiedział cicho. – Zawsze wieczorem będę myślał o tobie i o Dużej i o Mruczku.

Przysunął się bliżej i wtulił nos w moje futerko.

– Heeej! – wrzasnął z parapetu Filet. – Dom przyjechał po Rudego!

Rudzielec drgnął. Delikatnie trąciłam go w bok.

– Maszeruj! – powiedziałam, ale był tak przejęty, że nie mógł zrobić kroku.

Duża musiała go podnieść z siennika i podać ludziom, którzy weszli do świetlicy.

– Jak on ładnie pachnie! – powiedział Duży biorąc go na ręce. – No, kociaku czeka cię długa droga.

Stojąca obok Duża pociągała nosem patrząc na plecy Rudzielca, które naprawdę wyglądały o wiele lepiej niż jakiś czas temu i naprawdę nie było już nad czym płakać.

– No to cześć! – powiedział Filet ocierając się o transporterek. – Cześć, powodzenia i pokaż im jakie super są koty ze Świetlicy...

Gdy Rudzielec zniknął za drzwiami w naszym kącie nagle zapadła cisza. Mruczek przysiadł z podwiniętym ogonem, a Smutny Kot głośno westchnął. Kocia Bida przysunęła się do mnie.

– Dziś Rudzielec zaśnie w swoim Domu i będzie myśleć o nas – powiedziałam. Mruczek spojrzał na kolorową piłeczkę leżącą na środku siennika. – A to skąd się tutaj wzięło? – zdziwił się Filet.

Na górze, pod sufitem coś zachrobotało. To Magda zamachała ogonem i fuknęła – No, przecież to oni zostawili. Dla was.

– Pił-ka... – wymamrotał nagle ktoś tuż przy moim uchu. Obejrzałam się i spojrzałam prosto w trójkątny pyszczek Kociej Bidy.

– Pił-ka... – powtórzyła i głośno przeknęła ślinę.

## ***WEŹ POD DACH BIDĘ Z NĘDŻĄ***

Kocia Bida próbowała odzywać się coraz częściej. Niektóre, proste słowa wypowiedziała bez trudu, inne sprawiały jej problem. Smutny Kot siedział blisko niej i pomrukiwał cicho, gdy patrząc na Mruczka mówiła – Mru-czek... – albo, gdy idąc w stronę Piasku powtarzała. – Pia-sek...

– Sien-nik.... – dopowiadał Smutny Kot. – Świet-li-ca....

Inne słowa były dla niej za trudne, więc nawet nie próbowała ich powtarzać. Do snu układała się blisko Smutnego Kota i przymykała oczy, kiedy mył jej uszy.

– Wiesz, Babuniu... – powiedział kiedyś Smutny Kot. – Ona tak pięknie mruczy...

Był środek nocy. Księżyc srebrzył nasze futra i wszystko wydawało się nierzeczywiste. Smutny Kot przeskoczył przez śpiącego Mruczka i usiadł naprzeciw mnie.

– Podobno kiedyś ktoś wziął dwoje – szepnął. – Dwoje z nas, bo nie mógł się zdecydować.

– To prawda – powiedziałam. – Ale mnie wtedy tu jeszcze nie było.

Smutny Kot tęsknie spojrzął w okno.

– Ona mówi... – zamyślił się. – Nie potrafi opowiadać, ale mówi.

Kocia Bida spała zwinęta w ciasny kłębuszek wtulona nosem w siennik. Smutny Kot otarł się policzkiem o jej chudy grzbiet. Nareszcie znowu miał kogo kochać. Oblizywał jej pyszczek i razem turlali po sienniku piłkę. Siedział u stóp Dużej, kiedy szcztokowała jej futerko. Starał się nie odstępować kotki na krok, a gdy się oddalała – nie spuszczał jej z oka. Gotów w każdej chwili pomóc, albo obronić. Pewnej nocy, gdy spała już mocnym, bezpiecznym, spokojnym snem opowiedział mi jej historię. Poznał ją z pomruków, gestów i urywanych sylab krótkich słów.

To był piękny, słoneczny dzień. Wygrzewała się na parapecie okna, kiedy wszyscy wyszli. Wiedziała, że za kilka godzin wróca, wygłaszczą i smacznie nakarmią. Miała dla siebie całe leniwe popołudnie. Nie wiedziała, co to było. Coś, co lata. Wydawało się, że jest w zasięgu łapy. Nie było. Był lot w dół budynku, przerażenie, wołanie o pomoc. A potem ciemność – długa i przepelniona bólem, w której widziała zamglony zarys Tęczowego Mostu. Ocknęła się, ale nie mogła zrobić żadnego ruchu. Został jej tylko bezgłośny płacz. Nie wie, jak długo tak leżała. Sto lat? Dwieście? W końcu jacyś nieznani Ludzie podnieśli ją z trawnika i przywieźli tutaj. Po tygodniu, kiedy leżała w Zamkniętym Pokoju zgłosił się do schroniska jej Dom. Słyszała, jak Duża z nim rozmawia przez gadający przedmiot. Kiedy Dom dowiedział się, że prawdopodobnie zawsze będzie trochę zepsuta powiedział, że już jej nie chce nikt. Nie wie, dlaczego po tej rozmowie Duża kilka razy mocno uderzyła pięścią w ścianę. Ja chyba wiem.

– Ona nie ma nikogo – powiedziałam do niego. – I ty nikogo nie masz. To wasze osobne tak mało, razem może zamienić się w tak bardzo dużo.

– Któregoś dnia Duża przyszła do Świetlicy ze swoim specjalnym Adopcynym Uśmiechem i spojrzała na nasz ką. Poszukała wzrokiem Smutnego Kota, który drzemał oparty o grzbiet Kociej Bidy.

– No, kotku... – powiedziała. – Jest ktoś, kto cię pokochał.

Smutny Kot drgnął i spojrzął na mnie.

– Pojedziesz do Domu – szepnęłam. – Masz już Dom.

Ale Smutny Kot nie odpowiedział. Zamknął oczy i na powrót położył głowę na grzbiecie towarzyski. Duża delikatnie podniosła go z siennika.

– Chodź! – powiedziała zapraszająco. – Twój domek przyjechał do ciebie.

Smutny Kot skulił się, otworzył pyszczek i zaczął gwałtownie kaszlać. Kaszel był suchy, nieprzyjemny i wstrząsał całym jego ciałem.

– O Boże! – jęknęła Duża. – Tylko nie choruj!

W pośpiechu wybiegła niosąc go na rękach do Zamkniętego Pokoju. Filet uśmiechnął się połową pyszczka. Trochę mi się to wydawało dziwne, bo wieczorem Smutny Kot był zupełnie zdrowy. Zjadł kolację, spał spokojnie, miał czyste oczy i nos.

– Trzeba poczekać – powiedziałam drżąc z niepokoju i zdenerwowania.

Więc czekaliśmy. Mruczek i Filet na oknie, ja i Kocia Bida na sienniku. Duża wróciła ze Smutnym Kotem. Położyła go na sienniku, a Smutny Kot zakaszał jeszcze parę razy.

– Temperatury nie ma, gardziółko czyste – powiedziała do siebie Duża. – Może trzeba odrobaczyć?

Smutny Kot zwinął się w kłębek.

– Trudno – orzekła Duża. – Domek będzie musiał poczekać.

I wyszła. Usłyszeliśmy ciche głosy ludzi. Ktoś pytał, czy może jakoś pomóc w leczeniu, odwiedzać, dokarmiać?... W końcu głosy ucichły. Smutny Kot wstał z postania i umył uszy Kociej Bidy. Potem zjadł normalną porcję karmy i popił wodą. Kaszel ustał, tylko oczy Smutnego Kota były jakoś dziwnie wilgotne.

– Nie choruj! – poprosiłam. – Weź się w garść!

Smutny Kot nie odpowiedział. Swoim zwyczajem oparł głowę o plecy Kocie Bidy i przymknął oczy.

Tak minął dzień. Ile razy Duża wchodziła do świetlicy, tyle razy witał ją kaszel Smutnego Kota. Podchodziła, głaskała go i wychodziła w milczeniu. W środku nocy obudziły mnie ciche głosy. Nie poruszyłam się, tylko nastawiłam uszu.

– Nieźle to sobie wymyśliłeś! – dobiegł do mnie głos Fileta.

– Oni boją się kaszlu – tłumaczył Smutny Kot. – Moja pani, zanim odeszła, też kaszłała.

Uniosłam głowę.

– I długo tak będziesz? – dopytywał się Filet.

– Do skutku – odpowiedział Smutny Kot. – Oni muszą zrozumieć.

Wstałam. Na mój widok Smutny Kot cichutko zakaszłał, ale tylko się uśmiechnęłam.

– Ona zrozumie – zapewniłam go. – Duża jest dobra i mądra.

– Chcę, by zabrano nas do jednego Domu – powiedział Smutny Kot.

W świetle księżycy jego futro znowu przybrało srebrny kolor, a oczy błyszcząły mu jak małe światełka. – Jestem potrzebny... – szepnął. – Nie jestem sam...

Rano duża znowu zabrała go do Zamkniętego Pokoju, I znowu wrócili do świetlicy – on, pokaszłując, ona – zdenerwowana.

– No i chyba straciliśmy Domek – powiedziała ze smutkiem w głosie.

– Do-mek... – odezwała się Kocia Bida. Zajrzała w oczy Dużej i przytuliła się do Smutnego Kota.

Smutny Kot spojrział na Dużą i cichutko zakaszłał. Oczy Dużej zrobiły się wielkie jak miseczki.

– Kotku... – zaczęła i urwała.

– Do-mek... – powtórzyła Kocia Bida.

Duża wyjęła z kieszeni Gadający Przedmiot i wybiegła na korytarz.

– Ale się narobiło! – zawył Filet.

– Ona już wie – powiedziałam.

Kiedy Duża wróciła do świetlicy poczułam, jak drżą mi łapy. Miała jeszcze w rękę Gadający Przedmiot, a na twarzy najpiękniejszy z uśmiechów.

## **PAN FILET**

Ich Dom chyba nie był tak daleko, bo pojawiał się często i dla każdego z nas miał dobre słowo. Zaczynał od przywitania się ze wszystkimi, a kończył na gruntownym wyczesaniu Smutnego Kota i Kocie Bidy. Smutny Kot zmienił się nie poznania. Nagle okazało się, że paski na jego grzbiecie są czarne, przechodzą miejscami w cętki i że pod brodą ma ładny biały krawacik. Kocia Bida futerko miała srebrne. Chociaż dalej poruszała się powoli i bardzo ostrożnie, jej oczy ładnie błyszczwały, gdy otwierała pyszczek mówiąc

– Do-mek.

Oczywiście Dom nie rozumiał, co ona mówi i tłumaczył to sobie jako – Dzień dobry – ale najważniejsze było to, że kochał Smutnego Kota i Kocią Bidę.

Patrzyłam na nich ze swojego kąta wylizując uszka Mruczka i opędzając się od Fileta, który usiłował chwycić mój koniuszek ogona.

– Babuniu! – powiedział nagle Mruczek cofając łeppek. – Gdyby nie ty, Smutny Kot nigdy nie wyszedłby ze swojego kąta. Nie spotkałby Kocie Bidy.

Wtedy dotarło do mnie, że gdybym częściej zapuszczała się w zakamarki Świetlicy mogłabym znaleźć jeszcze innych. Właśnie podjęłam taki zamiar, gdy w progu świetlicy stanęła Duża, a za nią ktoś, kto chociaż był człowiekiem, wyglądał zupełnie jak Filet. Rzecz jasna nie miał na twarzy futra, ani wąsików, ale patrzył i poruszał się w taki sam

sposób. Wcale nie zachowywał się cicho, jak większość Dużych, którzy przychodzili po swoje koty, tylko przemaszerał przez świetlicę wołając – Filet! Filet!

Na dźwięk swojego imienia Filet wstał i przeciągnął się.

Dom Fileta wytarosił głośno protestującą Magdę. Sięgnął do kieszeni, wyciągnął z niej kolorowego robaka na sznurku i zaczepił sznurek o belkę nie zwracając najmniejszej uwagi na powarkiwanie jej lokatorki. Filet z rozpędu trzepnął robaka parę razy łapą i podbiegł do mnie.

– Super ten mój Dom! – powiedział.

– Trafił swój na swego – prychnęła Magda doprowadzając do porządku rozwichrzone futro.

– No, Filet! – zahuczał nad naszymi głowami głos Dużego. – Pora się zbierać!

Filet nagle stracił animusz. Przysiadł obok mnie i oblizał łapę.

– No! – powtórzył Duży. – Powiedz swojej paczce „cześć” i zmiatamy.

– Przecież sam powiedziałeś, że ten twój Duży jest super! – szepnął Mruczek.

Filet pokiwał łebkiem.

– Tak, ale... – powiedział cicho. – ...ale tutaj... no, wiesz... tyle czasu z wami...

– Filet! – odezwała się stanowczo. – Świetlica to nie dom. Przecież wiesz.

Duży przykucnął koło nas. Podeszłam blisko i i obwąchałam jego buty.

– No proszę... – powiedział Duży. – Elegancka starsza pani. Babunia, jeśli się nie mylę?

Zamruczałam uprzejmie i otarłam się o jego rękę. a potem oblizałam pyszczek Fileta.

Duży uniósł go z podłogi i posadził sobie na ramieniu.

– Teraz będziesz Pan Filet! – powiedział.

Wyjął z kieszeni garść futrzanych myszek i rzucił je w powietrze. Filet uśmiechnął się szeroko i wygiął ogon.

– No, to do widzenia! – powiedział Duży, a Filet nagle odzyskał pewność siebie.

– Byliście... – zamiauczał. – Byliście... No, – po prostu najlepsi!

Duża Jasnowłosa patrzyła na to wszystko z uśmiechem.

– Dziękuję! – powiedział Dom Fileta. – Będę szukać czegoś dla całej paczki.

– Paczka ma już Domy – odpowiedziała Duża. – Ale są jeszcze inni...

– Będę pamiętać! – powiedział Dom Fileta i skierowali się ku wyjściu.

– No i zostałem sam – pisnął Mruczek. Traciłam go głową. Spojrzył na mnie jeszcze smutniej niż Smutny Kot.

– Nie jesteś sam – szepnęłam. – Rozstania muszą boleć.

Mruczek zwinął się w kłębuszek obok mnie. Przez ten cały smutek zrobił się taki leciutki, że nawet nie czułam jego ciężaru na ogonie. Pomyślałam, że po popołudniowej drzemce obejdę Świetlicę, bo przecież są jeszcze inni. Inni, których nikt nie zna, którzy – być może nawet nie mają swojego świetlicowego imienia. Nad nami kołysał się kolorowy robak.

– Babuniu! – szepnął Mruczek. – Wiesz? Ja nigdy nie zapomnę Fileta.

– Właśnie dlatego rozstania muszą boleć – powiedziałam. – Żeby nie zapomnieć.

## WAKACJE

Biała kotka pojawiła się po obiedzie. Śliczna, elegancka, mięciutka. Z gracją przemaszzerowała przez Świetlicę, zamruczała do Magdy i miło się uśmiechnęła.

– Jakby było się z czego śmiać! – fuknęła Magda.

Biała Kotka przystanąła.

– Bardzo nas tu dużo – powiedziała. – Czy wy też przyjechaliście na wakacje?

Serce mi się ścisnęło. Wakacje. To słowo budziło we mnie grozę. Pamiętam, jak dawno temu wypowiedział je Łaciaty Kot. Wakacje, powiedział mi, to jest taki czas, kiedy Ludzie zostawiają wszystko i gdzieś uciekają. Wtedy zostajemy z innymi Ludźmi, którzy przychodzą napelić nasze miseczeki i czasami nas pogłaszczą. Albo zostajemy

sami z otwartym okienkiem do piwnicy, rozsypaną na podłodze karmą i miską wody, która dzień po dniu traci smak, robi się śliska i zielona. Albo zawożą nas gdziekolwiek. Gdziekolwiek, to może być pobocze drogi, wieś zagubiona w lesie, albo jakaś Świetlica. Starszy ode mnie Łaciaty Kot powiedział jeszcze, że niektórzy Ludzie zabierają nas ze sobą, ale to się bardzo rzadko zdarza. Dlatego dzisiaj wiem, że nie zawsze my i Ludzie możemy cieszyć się razem. A przecież w wakacje zwykle świeci słońce i można byłoby leżeć w trawie, albo na oknie, albo na ogrodowym krześle. Leżeć i spać, albo leżeć i słuchać, jak śpiewają ptaki, jak brzęczą przelatujące muszki. Wtedy ludzie mogliby przestać się spieszyć, mieć czas posiedzieć z nami trochę dłużej, przestać kręcić się nerwowo z kąta w kąt. Nie przestają się dziwić – dlaczego Ludzie nie mogą zrozumieć, o co tak naprawdę w życiu chodzi?

Biała Kotka wiedzona jakimś dziwnym instynktem usiadła naprzeciw mnie starannie ustawivszy obok siebie łapki. Była czyściutka, pachniała czymś miłym i wydawało jej się, że my wszyscy wpadliśmy tu na chwilę, żeby się ze sobą pobawić.

– Bawimy się wyśmienicie! – prychnęła z góry Magda. – Zobaczysz.

Kotka obejrzała piłeczkę i myszkę i spojrzała na mnie pytająco.

– Są trochę zużyte – wtrącił się Mruczek. – Ale można się nimi bawić.

– Mam ze sobą swoje zabawki – uśmiechnęła się. – Tylko zostały za drzwiami.

Rzeczywiście. Ledwie to powiedział, do Świetlicy weszła Duża i rozejrzała się dokoła.

– A, tutaj jesteś! – powiedziała. – Więc tu zostawimy twoje rzeczy.

Na sienniku pojawiły się zabawki, jakich jeszcze nikt z nas nie widział. Dzwoniąca kulka, myszki, które piszczały, gdy się je przycisnęło łapką, kolorowe piłeczki. Ale najważniejsza była wiklinowa budka z poduszką w środku.

– Tutaj mieszkam! – wyjaśniła Biała Kotka.

Mruczek obszedł budkę dookoła i spojrzał pytająco na Białą Kotkę.

– Jeśli chcesz, możesz spróbować – powiedziała uprzejmie, a Mruczek ochoczo wszedł do środka.

– Chodź, Babuniu! – zawołał. – Zobacz, jak tu fajnie!

– W Domu... – powiedziała Kotka – ...mój domek stoi na podłodze, koło okna. Spojrzała na stary, porwany naszymi pazurami drewniany parapet i stropiła się.

– To jest fajne okno – powiedział Mruczek. – Na podwórku mieszka Stary Złośnik i w ogóle dużo widać.

– A ja mieszkam chyba gdzieś tam... – spojrzała za siebie. – Albo tam... Niedaleko. Wyskoczyła na okno i oparła się łapkami o szybę.

– Psy też tu przyjechały? – zapytała.

– One też się tu dobrze bawią! – rzuciła z pasją Magda.

Biała kotka przeskoczyła na daszek swojej budki.

– Dlaczego ona jest taka niegrzeczna? – spytała zaskoczona.

– Bo ja mam już powyżej uszu tych wakacji! – syknęła do siebie Magda i przestała zauważać kogokolwiek.

– Mruczek – powiedziałam – właśnie szuka kogoś do zabawy.

Biała Kotka obwąchała swoje miseczki.

– Kiedy będziemy jeść? – zapytała.

– Wieczorem – powiedziałam. – Jeśli chcesz się napić, to w mojej miseczce jest woda.

Biała Kotka wypiła parę łyków i rozejrzała się za Mruczkiem. Przyglądał się uważnie piszczącym myszkom.

– Będziemy je sobie zabierać, dobrze? – zawołała i zaczęli zabawę.

Poczułam jak Tarnobrzaska siada cicho za moimi plecami.

– Biedactwo... – szepnęła i oblizała nosek.

– Kiedy wrócę do Domu... – opowiadała Mruczkowi Biała Kotka – ...będę miała o czym mówić!

Duża wyjątkowo w środku dnia napełniła miseczki Kotki karmą. Tak bardzo żałowałam, że nie znam ludzkiego języka. Poprosiłabym Dużą, żeby nie mówiła jej prawdy. A tak mogłam tylko robić grymasy do Magdy, żeby trzymała język za zębami i prosić Mruczka, aby się nie wygadał.

Biała Kotka tymczasem obiegrała świetlicę i wróciła mocno zaniepokojona.

– Czegoś nie rozumiem! Nadstawiłam uszu.

– Nie rozumiem, dlaczego ktoś jest chory i jedzie na wakacje?

Nie odpowiedziałam, a Biała Kotka mówiła dalej.

– Bo jak pobiegłam do tamtego kąta, to taka jedna powiedziała – tu nie chodź, bo tu są chorzy. Więc dlaczego?

– Pochorowali się od nadmiaru zabawy – wycodziła przez zęby Magda i zamilkła, bo tuż za nią pojawił się najeżony Mruczek.

– Niektórzy chorują na wakacjach – powiedziałam. – To się zdarza. Ale rzeczywiście lepiej tam nie chodzić.

Biała Kotka oblizwała różowy nosek.

– Pierwszy dzień i już mam przyjaciół! – zamruczała.

– Masz – odpowiedziałam. – Dlatego to nie będą złe wakacje...

Bo jak mogłam jej tak po prostu powiedzieć, że już nigdy nie wróci do domu?

## ***MUSI BOLEĆ***

Z Tarnobrzeską zegnałam się bardzo długo. Było nam tym bardziej smutno, że zajmując się cały czas innymi nie miałyśmy go dla siebie. Właściwie wiedziałyśmy o sobie niewiele. A mimo to była mi bliska. Dzielną, ufna, kochająca. Pomyślałam, że idąc do domu zabiera jakąś część mnie. A w ogóle to najbardziej chciałabym zatrzymać ją przy sobie. Stałam naprzeciw niej i myślałam o dołku w sienniku, który wieczorem będzie pusty, w którym zapach będzie z dnia na dzień blednąc, zanikać, aż zostanie tylko gdzieś głęboko we mnie, przywoływany w środku nocy. A z nim znajoma postać.

– Babuniu! – szepnął Mruczek. – Przecież jeszcze jestem ja, Smutny Kot, Kocia Bida...

Nie potrafiłam mu wytłumaczyć, co połączyło nas obie w dniu, kiedy przyniosła na moje postanie swoje Dziecko. Jak przypomniła mi czas dorastania moich Dzieci, zapach ich ciepłego od snu futra, poranne zabawy. Wszystko to, na czym upłynęło moje życie. Jak ożywiła moje stare kości, obudziła wspomnienia, I te wszystkie dni, słoneczne poranki, leniwe popołudnia...

– Babuniu, no, powiedz coś! – Mruczek czołgał się przede mną. – Babuniu, powiedz!

Westchnęłam. Co właściwie mogłam mu powiedzieć? Że ktoś, kto ofiarował mojej przyjaciółce Dom dostanie najcieplejsze na świecie serce, najpiękniejszą, najtrwalszą Miłość? Nie przyszło mi nawet na myśl, że ktoś mógłby jej nie pokochać. Bo Ludzie bywają nieodpowiedzialni i czasami nie wiedzą sami, czego tak naprawdę chcą...

Na szczęście, nic nie wskazywało na to, aby kiedykolwiek miało wydarzyć się coś złego. Tym bardziej, że dom Smutnego Kota i Kociej Bida ożywił legendę. Tych dwoje stało się dla nas źródłem nadziei. Byli przecież wśród nas – żywi, walczący o swoje miejsce w świecie, piękni mimo niedostatków, otoczeni jakimś niezwykłym ciepłem i gotowi ogarnąć nim każdego.

– Ko-cham – powiedziała Kocia Bida ocierając się pyszczkiem o pyszczek Tarnobrzeskiej.

– Ko-cham.

– Dziękuję! – szepnął Smutny Kot. Tarnobrzeska uśmiechnęła się.

– Nigdy was nie zapomnę! – powiedziała, ale nie było widać, żeby się specjalnie cieszyła.

Wyglądała tak, jakby szła wypełnić koci obowiązek mruczenia i ugniatania kolan, porannych ósemek wokół nóg i ocierania się o wyciągniętą rękę. Patrzyła na nas w jakiś szczególny sposób. Jakby chciała zapamiętać każdy, nawet najdrobniejszy szczegół. Plamkę, wąs, pojedynczy włos.

Przeszła tam i z powrotem po sienniku słuchając, jak szeleści w nim siano. Długo patrzyłyśmy sobie w oczy. Widziałam siebie w jej żółtych oczach, a jej drobny, trójkątny pyszczek odbijał się w moich, zielonych.

– Babuniu... – powiedziała.

Zamiauczałam cicho w odpowiedzi i to było wszystko. Tak opuściła świetlicę Tarnobrzeską, i zostaliśmy sami. Kocia Bida przytuliła się do mnie i cichutko zaśpiewała.

– Babuniu! – powiedział nagle Mruczek. – Przecież to ty mówiłaś, że rozstanie musi boleć, prawda?

Ach, ten Mruczek. Dorósł tak szybko, że pobił mnie moją własną bronią, i w dodatku odkrył, że tym razem to ja potrzebuję pocieszenia. Gdybym była Magdą z belki pod sufitem fuknęłabym coś na temat przemądrzałych smarkaczy, ale, niestety, byłam sobą. Oblizала pręgowaną mordkę.

– Dorastasz, Mruczku – powiedziałam. – Chyba już jesteś za duży, żeby spać na moim ogonie.

Mruczek aż zapiszczał z oburzenia.

– No właśnie! – odezwała się z góry Magda.

Oczywiście nie wziął sobie do serca tej uwagi. Zaraz, kiedy tylko zgasło światło przyczołgał się do mnie.

– Ja wiem, że jestem za duży... – szepnął – ...ale chyba potrzebujesz kogoś obok siebie, Babuniu?

Tej nocy moje sny otulały Tarnobrzeską w jej nowym Domu, kiedy poznawała wszystkie kąty, odkrywała smak jedzenia, uczyła się drogi do Piasku. Wtuliłam nos w siennik. Jej zapach był jeszcze świeży, jakby odeszła przed chwilką. Słoma szeleściła, i coś łaskotało mnie w pyszczek.

Otworzyłam oczy. W niebiesko szary materiał, jak cienkie źdźbło trawy wbity był biały, sztywny wąs. Przycisnęłam do niego pyszczek tak mocno, że aż zaboląło. A gdy Mruczek spał już głębokim snem ugniatając łapkami siennik, delikatnie, żeby go nie obudzić, zabrałam ogon i po cichu wyskoczyłam na parapet.

– Gdzie jesteś? – szepnęłam w ciemność.

Odpowiedział mi dziwny, przejmujący smutek.

## *PUSTKA*

Po kilku dniach Biała Kotka zaczęła się troszkę niecierpliwić. Wyskakiwała na okno i jak pierwszego dnia opierała się łapkami o szybę, żeby rozejrzeć się na prawo i lewo.

– Tak naprawdę, to bardzo chciałam już wrócić do Domu – powiedziała, patrząc na mnie ze smutkiem w oczach. – Prawie wcale nie wychodzimy na dwór. I Piasek bywa brudny.

Z tym wychodzeniem nie miała do końca racji – prawda była taka, że było nas tak wielu, że Duża często nie zdołała „przewietrzyć” wszystkich. Ale na podwórko wychodziliśmy.

Kto powiedział Białej Kotce prawdę o świetlicy? Nie wiem, ale gdyby wpadł w moje pazury zostałyby z niego żalosne strzępki. Tamtego dnia wyszliśmy na dwór i ktoś musiał powiedzieć za dużo. Biała Kotka wypuściła patyczek, który właśnie wydarła Mruczkowi i bezradnie usiadła na środku podwórka.

– Dlaczego? – zapytała bardzo cicho i żałośnie. – Dlaczego?

Nie poruszyła się nawet, kiedy Mruczek trącił ją nosem.

– Hej! – zamruczał ciepło. – Przecież nas lubisz, prawda?

– Lubię – szepnęła. – Ale nic nie rozumiem!

Nie zjadła ani obiadu, ani kolacji. Leżała w swojej budce, cicha i zrezygnowana.

– Z Ludźmi tak już jest – powiedział Mruczek wsuwając głowę do budki. – Mnie oddali, bo byłem chory.

Biała Kotka nie odpowiedziała. Odsunęłam delikatnie Mruczka i weszłam do środka. Próbowałam ją pocieszyć.

– Nie martw się. Z Ludźmi naprawdę bywa różnie.

– Jest mi smutno! – szepnęła i uniosła głowę. – Chyba jestem chora.

– Nie jesteś – zamruczałam. – Wyjdź, trzeba coś zjeść.

– Nie jestem głodna – powiedziała, ale posłusznie wyszła z budki. Nie patrząc na nikogo ominęła piszczące myszki, kolorowe piłeczki i kulkę z dzwoneczkiem rozsypane na podłodze po porannej zabawie.

– Nie mogę jeść – powiedziała stojąc nad miseczką.

– To napij się choć trochę wody – poradziłam.

Pomogło. Wypiła parę łyków i po chwili skubnęła trochę jedzenia.

– I co teraz? – zapytała. – Oszukali mnie.

– Przykro mi, kochanie! – zamruczałam. – Będziemy o ciebie dbać.

Biała kotka spojrzała na swoją budkę.

– Zabiorą mi mój domek? – spytała.

– Nie zabiorą! – powiedziałam. – To wszystko jest twoje. No chyba, że zechcesz zatrzymać zabawki tylko dla siebie.

Przypomniało mi się nagle, że kiedyś już widziałam taką budkę. W miarę upływu czasu szarzała, rozsychała się, kocięta wyciągały z niej patyczki. W końcu trzeba było wyrzucić ją i spalić. Mieszkaniec budki też jakoś nagle zniknął. Jakby go nigdy nie było. Otrząsnęłam się ze wspomnień.

Biała Kotka obwąchiwała piłeczki, myszki i dzwoniącą kulkę.

– To... – trąciła kulkę łapką. – Dostałam wtedy, kiedy ludzie dawali sobie prezenty. Miało taki fajny szeleszczący papierek. Nim też można było się bawić. Duża powiedziała, że na papierku było napisane, że to jest dla mnie.

– I to ona cię tu przywozła? – zapytał Mruczek ze zgrozą w głosie.

Biała kotka nie odpowiedziała. Spuściła głowę tak nisko, że nosem dotykała kulki.

– Co było napisane na papierku? – spytał cicho Smutny Kot.

– Milusia... – szepnęła Biała Kotka i wróciła do budki.

Położyłam się tak, aby cały czas mieć na oku budkę i zaczęłam rozmyślać. Ale co może wymyślić stara kotka, nawet, jeśli jest bardzo mądra i doświadczona, kiedy

świat ludzi staje się jeszcze bardziej niezrozumiały niż zwykle? Wiedziałam, że ludzie mają kogoś takiego z kim rozmawiają, gdy jest im bardzo ciężko i że proszą tego kogoś o pomoc i że pewnie ją otrzymują.

Bo przecież gdyby tak nie było, to na pewno zrezygnowaliby po jednej czy drugiej próbie? Ale my, koty – o ile mi wiadomo – jesteśmy zupełnie same. Co prawda mamy Wewnętrzny Głos, ale on odzywa się sam, wtedy, gdy uważa, że powinien. Woła – Uwaga! – gdy nadjeżdża samochód, albo przestrzega przed złym Psem.

Dlatego tej nocy zrezygnowałam z proszenia kogokolwiek o cokolwiek, I byłam zupełnie sama. Siedziałam na oknie patrząc na krzak bzu i przyzywałam wszystkich bliskich memu sercu.

– Jest dobrze! – dalekie westchnienia muskały mój pyszczek drobnymi falami ciepła, ale cud nie nadchodził.

Za oknem był tylko krzak bzu i Stary Złośnik siedzący na dachu budy, wpatrzony w rozgwieżdżone niebo, nieruchomy jak kamienna figurka.

## *KOTY I PSY*

Duża „wietrzyła” nas tak często, jak się tylko dało. To były najpiękniejsze dni, chociaż jak już mówiłam – podwórze było udeptane naszymi łapkami. A i trawy, prawdę mówiąc było na nim niewiele. Ale za to, jakiej! Świeżej, zielonej, chłodnej. Biegały w niej różne małe stworzonka – żuczki, pająki, koniki polne. Czasami nad trawą przelatywał nawet jakiś motyl. Mruczek zawsze puszczał się za nim pędem i podskakiwał do góry, ale polowanie nigdy mu się nie udawało.

– Naprawdę – powiedział kiedyś – To ja go chcę tylko gonić. Bo raz, jak złapałem jednego, to od razu się zepsuł i nie chciał już latać.

Poranek przed wietrzeniem poprzedziła nocna burza. Przyszła nagle, z gwałtownym deszczem, którego szum obudził mnie ze snu. Mruczek spał twardo, za to oczy Białej Kotki świeciły w ciemności jak dwie latarki.

– Nie śpisz? – zapytałam. – Boisz się burzy ?

Biała kotka wyszła z budki i usiadła obok mnie.

– Tęsknię – powiedziała. – Brakuje mi powietrza, spacerów. W Domu często wychodziłam na dwór. Ubierali mnie w szeleczki i spacerowałam po trawie.

– Przecież na naszym podwórku też jest trochę trawy. Biała Kotka opuściła głowę.

– Ale to zupełnie inna trawa. Podeptana.

– To nic! – odpowiedziałam. – Lepsza taka, niż żadna.

Ale mimo woli spojrzałam na podwórkową trawę oczyma Białej Kotki. Rzeczywiście miejscami była obgryziona, żałośnie wygnieciona. Ale jak mogło być inaczej, skoro każdy z nas garnał się jak mógł do tego skrawka zieleni?

Rano wyjrzało słońce. Duża szybko uporała się z nakarmieniem nas, wyczyszczeniem uszu, wymianą Piasku i otworzyła drzwi na podwórko. Powietrze po deszczu było czyste i świeże, pachniały liście, mokra ziemia i trawa, a na samym środku podwórka świeciła spora kałuża.

Z liści bzu spadały kropelki, a Stary Złośnik wyniósł się na dach szopy zrzedzając nosem, że od rana nigdzie nie ma spokoju. Zrobiłam mały obchód. U mojego boku szła Biała Kotka i podskakiwał radośnie Mruczek. Smutny Kot i Kocia Bida wygrzewali się na parapecie okna, a reszta kręciła się u nóg Dużej. Niektórzy nawet powłazili jej na kolana, ramiona i plecy korzystając z tego, że schyliła się, aby kogoś pogłaskać. Chyba jej to nie przeszkadzało, bo się uśmiechała, ale na pewno nie było jej wygodnie. W końcu Duża poodczepiała wszystkie pazurki, które zahaczyły się o jej sweter, jeszcze raz pogłaskała białe, bure i czarne grzbiety i poszła wyczesać Kocią Bidę. Było tak dobrze. Wyciągnęłam się na trawie i patrzyłam, jak Mruczek i Biała Kotka krążą wokół kałuży. Nagle za krzakiem bzu coś zaszeleściło i spomiędzy liści ukazała się upaprana

ziemią morda Psa, a za nią cały Pies. Był czarny, nieduży, miał na szyi czerwoną obrozę i w ogóle nie zwracał na nas uwagi.

– Pies! Pies! – prychnęła Magda i czmychnęła na dach szopy, gdzie Stary Złośnik właśnie dokonywał porannej toalety.

– Pies! Pies! – Kilkoro wdrapało się na ławkę, ale Pies w ogóle się nimi nie zainteresował, tylko przemaszerował przez podwórko, nachylił się nad kałużą i zaczął chleptać wodę. Mlaskał przy tym głośno, jak to zwykle robią Psy i chlapał na wszystkie strony. Biała Kotka, nie zważając na ostrzeżenia, podeszła do Psa i otrząsając się z obrzydzeniem z kropelek wody powiedziała:

– Nie chlap tak!

Pies uśmiechnął się szeroko, zamachał ogonem i zniknął za krzakiem. Z dachu szopy rozległo się rozbawione prychnięcie Starego Złośnika. Pobiegłam za Psem ostrzegawczo powarkując, ale już go nie było. Za to pod krzakiem, był sporej wielkości podkop. Biała Kotka umyła sobie pyszczek i ułożyła się w trawie.

– Ona nie boi się Psów! – Pisnął z zachwytem Mruczek. – Babuniu, ona się nie boi psów!

– Lubię Psy – powiedziała Biała Kotka tak cicho, że nie słyszał jej nikt prócz nas. – Znałam kiedyś jednego Psa. Byłam wtedy malutka, a on był już stary. Był duży i miękki i wcale się nie gniewał, kiedy po nim skakałam. Tylko nie lubił, jak wkładałam mu łapkę do ucha. Uśmiechnęłam się.

– Tego raczej nikt nie lubi.

– Pies był stary... – Biała Kotka nagle posmutniała. – I pewnego dnia zniknął. Poszłam rano pobawić się z nim i nie było ani Psa, ani jego koszyka. Tęskniłam...

Oparła pyszczek o moje łapki i zamilkła. Wolałam nawet nie pytać, co stało się ze starym Psem. Wcale nie zdziwiłabym się, gdyby powiedziała, że Ludzie postanowili „coś z nim zrobić”, bo tak nazywali to najgorsze. Nigdy nie rozumiałam, dlaczego nasza starość i choroby były dla Ludzi takie uciążliwe? Może sami bali się tego czegoś parząc jak zmierzamy do kresu drogi? Ale właściwie nie było się czemu dziwić. Przecież

i starzy Ludzie nagle znikali z domów. Tak mówili niektórzy z nas, którzy, gdy nagle zabrakło ich Ludzi trafiali do Świetlicy. Czasem musieli przejść długą i smutną drogę. Wyrzuceni, zaczęli od długich spacerów pod drzwiami, uporczywego wołania o otwarcie okna, zasypiali na wycieraczkach pragnąc znaleźć się znów w swoim koszyku. Śnili o rękach swoich Ludzi. Tych samych, którym z dnia na dzień coraz trudniej było unieść i przygarnąć małe kocie ciało i ułożyć je sobie na słabnących kolanach. Czasem ludzie odchodzili za Tęczowy Most, ale czasami odchodzili nie wiadomo gdzie i ich myśli pełne smutku i niepokoju wpełzały w nasze i tak niespokojne sny. Więc – skoro ludzie uciekali przed cieniem swojej starości – dlaczego mieliby szanować i przejmować się naszą, choć wcale nie tak odmienną? Z tych smutnych myśli wyrwał mnie głos Dużej

– A więc jest kotek, który nie boi się psów?

– Lubi Psy... – szepnęła nieśmiało Biała Kotka.

Duża podniosła ją na wysokość twarzy, wtuliła nos w jej futerko.

W takim razie – powiedziała. – Koniec wakacji!

## ***DUŻA ŚPIEWA***

Dzień, w którym Smutny Kot i Kocia Bida odeszli do Domu był wyjątkowy. Nie tylko dostaliśmy mnóstwo przysmaków przygotowanych w ich Domu – jak powiedziała Duża, ale w dodatku znowu mogliśmy wyjść na podwórze. Ale tym razem to nie Duża miała się nami zajmować. Dom Kociej Bidy i Smutnego Kota widocznie nie miał nic do roboty u siebie, bo co i rusz pojawiał się z wizytą. Przyzwyczailiśmy się do jego obecności i do tego, że na zmianę z Dużą Jasnowłosą rozdawał nam kolorowe kulki i czyścił uszy. Wiedział, kogo wietrzyć, a kogo nie, kto mało je, a komu dokucza katar. Jednym słowem – zadamowił się na dobre. Jeśli Świetlicę można nazwać było do-

mem. Dom Fileta też o nas pamiętał. Pojawiły się kolejne kolorowe robaki i jeszcze coś, o czym Duża obiecała powiedzieć nam później. To znaczy – nie powiedziała dokładnie, kiedy. Wiedziałam tylko tyle, że w języku Ludzi „później” znaczy to samo, co „nie teraz” i może trwać bardzo długo, zanim nadejdzie. To, co miała nam do powiedzenia Duża, musiało być bardzo przyjemne, bo od rana słychać było, jak śpiewa.

– Śpiewa – to tyle, co u nas „mrczy” – tłumaczyłam Mruczkowi. – Jeśli ludzie są bardzo zadowoleni, to sobie śpiewają. Głośniej albo ciszej, brzydziej lub ładniej, ale na pewno jest to oznaką zadowolenia.

Więc Duża śpiewała. Chodziła po korytarzu, otwierała i zamykała Biuro, rozmawiała ze swoim Gadającym Przedmiotem, albo z drugą Dużą, a Kierownik Schroniska – ten sam, któremu Stary Złośnik w żaden sposób nie mógł wybaczyć budy – pogwizdywał. To pewnie też – jak słusznie zauważył Mruczek – było jedną z odmian mruczenia.

Kiedy wyszliśmy na podwórko, Biała Kotka pobiegła pod krzak bzu. Na chwilę znikła, a kiedy wróciła miała trochę smutną minę.

– Co się stało? – zapytałam.

– Ktoś zakopał dziurę!

Mruczek trącił ją noskiem.

– No, to jest zakopana! – miauknęła. – I żaden Pies nie będzie już chodzić po naszym podwórku.

– To był fajny pies! – szepnęła Biała Kotka. – Taki w sam raz, i nie był stary.

– A ja i tak nie lubię psów! – powiedział lekko urażony Mruczek i zaczął obgryzać trawę. Biała Kotka tymczasem znalazła ptasie piórko i gonila z nim po podwórku. Pomyślałam, że za budą Starego Złośliwca znajdowało się ostatnio podejrzenie dużo ptasich piórek. Spojrzałam wymownie na dach szopy i na piórko, ale Stary Złośnik nie odpowiedział. Nie wiedziałam, jak mógłby zjadać upolowane przez siebie ptaki nie mając zębów, ale wiedziałam, że zdolny był do wszystkiego. Ponowiłam jeszcze bardziej wymowne spojrzenie, ale zrobił kwaśną minę i odwrócił się w stronę podwórza dla Psów.

Białej Kotce udało się wciągnąć Mruczka do zabawy i biegali za piórkiem tam i z powrotem. Serce biło mi mocno, gdy patrzyłam na ich harce. Pomyślałam sobie, że Mruczek jest mi bliższy niż moje dawne, własne Dzieci. Nigdy nie dano mi dość czasu, abym mogła nacieszyć się ich dorastaniem. Widzieć jak rosną, jak z malutkich kłębuszków robią się kocie wyrostki, a potem młode koty. Jak ich dziecinny puszek zmienia się w prawdziwe lśniące, dorosłe futerko. Leżałam w słońcu i myślałam o tym, jak dałam się złapać w swoją własną pułapkę. Mruczek lada moment mógł odejść do swojego Domu, a świadomość rozstania przejmowała mnie dziwnym smutkiem. Czułam się tak, jakby to we mnie była kałuża ze środka podwórka, niebieska i chłodna.

– No i gdzie jest ten kotek, który nie boi się psów? – zapytał nagle jakiś Głos.

Nie mogę powiedzieć, żeby mi się spodobał. Nie było w nim tego ciepła, co w głose Dużej. Był zbyt natarczywy, za słodki. Biała Kotka złapała w pyszczek piórko i zamarła w bezruchu.

– To jest ten kotek – odpowiedziała Duża. – A właściwie kotka.

Podniosła Białą na wysokość twarzy Głosu.

– Bielutka, czyściutka. Lubi się bawić. – Duża mówiła prawdę, ale nie słyszałam tego ciepła, które zwykle towarzyszyło takim słowom.

– Dachowiec... – Głos zmienił nagle barwę.

– Dachowiec – odpowiedziała Duża. Gdyby była kotem, powiedziałabym, że się najeżyła.

Wiatr porwał z ziemi upuszczone przez Białą Kotkę piórko i zakręcił nim nad podwórkiem.

– Rozumiem – powiedziała Duża. – Kotek miał być rasowy. Persik?

Głos przytaknął. Wspomniał coś o jakichś wplaconych pieniądzech, i że chyba słyszał o kimś, kto... Biała Kotka spojrzała na mnie błagalnie.

– Pieniądze oczywiście zwrócimy – głos Dużej zrobił się nagle lodowato słodki.

– A tamten ktoś... Będziemy w kontakcie. Wyleczymy kici uszka, przejdzie zapalenie oskrzeli i wtedy porozmawiamy.

Duża zaprosiła Głos do biura, a na podwórku znowu zrobiło się tak, jak zawsze – miło i swojsko.

– To ja jestem chora? – zapytała cichutko Biała Kotka.

Pyszczek Mruczka rozciągnął się w uśmiechu.

– Nasza Duża chce dla ciebie czegoś innego. Dlatego kłamie.

Biała Kotka ruszyła w poszukiwaniu piórka. Nagle odwróciła się i zapytała.

– Kto to jest Dachowiec ?

– To jest Dachowiec! – prychnął Mruczek wskazując na Czekoladowe Kocisko śpiące na dachu szopy.

– To ja jestem taka paskudna? – zamiauczała załośnie Biała Kotka.

Ofuknęłam Mruczka i trąciłam ją noskiem.

– Mruczek żartuje – powiedziałam. – A Dachowiec to każdy kot... No, taki koci kundelek.

– Dachówce są najładniejsze! – powiedział Dom Smutnego Kota, gdy Duża wróciła na podwórko.

– Nawet ten tam... – wskazała na Starego Złośliwca – Nie jest pozbawiony uroku.

Dziwnym trafem Stary Złośnik natychmiast odzyskał słuch i zaprezentował w całej okazałości wystrzępiony ogon.

Ale tego dnia Duża już nie śpiewała.

## BAJKA

W środku nocy obudziło mnie ciche miauczenie. Biała Kotka trącała mnie nosem, bardzo podekscytowana.

– Co się dzieje? – zapytałam sennie.

– Znowu przyszedł! – szepnęła. – Czarny Pies!

Ostrożnie wskoczyłam na parapet i spojrzałam na podwórze. Biała Kotka miała rację. Koło budy Starego Złośnika czarne psisko pracowicie ogryzało jakieś kostki. Najdziwniejsze było to, że Stary Złośnik najwyraźniej nie miał nic przeciwko temu. Nawet jego mina była mniej kwaśna niż zwykle.

Pomyślałam sobie, że gdyby był z nami Filet, na pewno zrobiłby z tego niezłe przedstawienie. Tak, jak kiedyś, gdy siedząc na parapecie pokazywał jak Kot-bez-zębów-łapie-pchły. Rzecz jasna, że Stary Złośnik udął wtedy głuchego i na dodatek ślepego, a Mruczek aż się turlał po podłodze.

Pies skończył jeść i zniknął za krzakiem bzu, a Stary Złośnik rozglądając się na wszystkie strony podbiegł do pozostawionych przez niego resztek, powąchał je i zaczął coś długo i pracowicie obracać w pysku. Stałęm na tylne łapki, przysunęłam pyszczek do łufcika i fuknęłam

– A co tam znowu się dzieje?

Stary Złośnik aż podskoczył, ale szybko wrócił do normalnego stanu i warknął.

– Małe przyjęcie. Jednoosobowe.

Może jednak dwuosobowe? Pomyślałam, ale nie odezwałam się.

– Stary Złośliwiec jest taki śmieszny! – powiedziała Biała Kotka. – Przecież nikt się go nie boi.

– Wiem! – odpowiedziałam. – Ale on o tym nie wie.

Biała Kotka nagle spoważniała. Z wysokości parapetu spojrzała na świetlicę i śpiący Dywan. Wiedziałam, że nie nauczyła się śnić, że kiedy nasze sny splatały się w jeden myślami była zupełnie gdzie indziej. U ciepłego boku starego Psa, który nagle zniknął z jej życia.

– Babuniu? – szepnęła. – Czy jest gdzieś dla mnie Dom? Taki, który będę mogła sama wybrać?

– Wybrać?.

– Tak! – odpowiedziała cicho. – Smutny Kot wybrał. Wybrał Stary Złośnik.

– Wiem! – powiedziałam łagodnie. – Ale to zwykle ludzie wybierają.

Biała Kotka ułożyła się przy mnie na sienniku.

– Babuniu? – zapytała po chwili. – Czy chcesz dziś spać ze mną w moim domku?

Dobrze wiedziałam, że budka była trochę za mała na wygodne spanie we dwójkę. Wiedziałam też, że zaraz dołączy do nas Mruczek w poszukiwaniu mojego ogona, więc przezornie wystawiłam ogon na zewnątrz, a Biała Kotka wsunęła mi pyszczek pod brodę.

– Gdybym mogła wybierać... – zamruczała cicho. – Wybrałabym tego Psa.

Zdążyłam już przywyknąć do jej pomysłów, więc odpowiedziałam spokojnie

– Gdybyś mogła. Ale tego nikt nie wie...

Zasnęłyśmy ciasno przytulone do siebie, próbowałam wyśnić dla niej coś miłego i kiedy z mojego snu powoli zaczął się wyłaniać obraz domu z przyjaznym Psem i zieloną, nie podeptaną trawą przed nim, obudziła nas awantura na korytarzu.

– To nie jest nasz pies! – tłumaczyła komuś Duża. – Pierwszy raz widzę go na oczy!

– Widziałam! – odpowiadał jakiś podniesiony Głos. – Dobrze widziałam, jak włożył przez dziurę pod siatką. Macie niezabezpieczone zwierzęta!

– Jeszcze ma pióra na pysku! – wtórował drugi, niemniej zdenerwowany Głos.

Nie wiem jak skończyłaby się ta rozmowa, gdyby nie nadszedł Kierownik Schroniska

– To ja zapłacę państwu za tę kurę – powiedział stanowczo. – A psa zatrzymam do wyjaśnienia sprawy.

– Jeszcze nam tu psa brakowało! – zdenerwowała się Magda. – Myszki, piłeczki, robaczki! Plac zabaw!

– Dlaczego ona nie lubi się bawić? – zapytała Biała Kotka.

Nie zdążyłam jej odpowiedzieć, bo Mruczek jednym susem znalazł się na oknie i pisnął.

– No, teraz dostanie za swoje! Biała Kotka skoczyła za Mruczkiem i swoim wyczajem oparła łapki o szybę.

– To znowu ten Pies! – zamiauczała.

Pies z miną winowajcy siedział uwiązany do oparcia ławki. Ktoś postawił przed nim miskę z wodą.

Stary Złośnik, jak zwykle, prychał i warczał udając, że nie ma z Psem nic wspólnego i że nie ma pojęcia, skąd wzięły się pod krzakiem piórka i kości. Duża zagadała coś do Psa, ten zamachał ogonem i pozwolił sobie odpiąć coś od obroży. Duża podniosła to coś do oczu, wyjęła Gadający Przedmiot i zaczęła z nim rozmawiać.

– Dobrze, dobrze – powtarzała. – Jest u nas, proszę przyjść.

Biała Kotka obejrzała się na mnie i w tym momencie jej łapki obsunęły się w dół zahaczając o klamkę. Skrzypnęło otwierane okno.

– Okno jest otwarte! – zaalarmowała Magda. – Pozostać na miejscach, na podwórku jest Pies!

Biała Kotka rozejrzała się dokoła.

– Mój! Mój Dom! – miauknęła radośnie i zeskoczyła na podwórze.

– On ją zje! – piszczał przerażony Mruczek gdy zbliżyła się do Psa.

Stała na tylnych łapkach i obwąchała jego pysk. Pies uprzejmie pochylił głowę, a potem położył się w cieniu bzu. Biała Kotka usiadła obok, starannie ustawiając obok siebie łapki.

– Przepraszam za kłopot! – odezwał się Głos od strony furtki. Pies zerwał się na równe nogi, zamachał gwałtownie ogonem, a potem skruszony spuścił głowę.

– Łazęga, powsinoga! – zrzędził Głos, a pies uniósł jedno ucho. – I jeszcze ta kura!

– Nie tylko kura – uśmiechnęła się Duża Jasnowłosa. – Jest jeszcze dziura pod siatką, i...

Urwała patrząc na Białą Kotkę – ...i pewna kotka, która bardzo chce zabrać się z nim do domu.

Tak ze świetlicy zniknęła wiklinowa budka.

– Babuniu! – szepnął Mruczek tuląc się do mnie. – Jak dobrze...

Wyciągnęłam się na sienniku. Kiedy byłam mała stare koty mówiły, że Ludzie opowiadają swoim Małym bajki. W bajkach wszystko zawsze dobrze się kończy i właśnie dlatego bajki są bajkami. Przez chwilę wydawało mi się, że historia Białej Kotki była właśnie taką bajką. Bajką, którą wyśniły nasze spragnione miłości serca. Bajką, w której pragnął znaleźć się każdy z nas i wierzył, że jego historia pisana nocami w snach pełnych lęku zmieszanego z nadzieją, któregoś dnia zakończy się dobrze.

Na podłodze leżały piszczące myszki, dzwoniąca kulka i kolorowe piłeczki, I tylko Mruczek narzekał, że nigdzie nie może znaleźć naszych starych zabawek.

## PAMIĄTKI

Biedny, kochany Mruczek, sam nie wiedział, czy się cieszyć czy się smucić. Od dnia, gdy trafił do świetlicy z zapłakаныmi oczkami i popękany do krwi noskiem minęło tak wiele czasu. Pamiętam noce, gdy męczył go kaszel albo ból brzucha, kiedy budząc się z płytkiego snu wzywał mamę lub próbował ssać mnie, starą kotkę. Gdy był już zdrowy i zaczynał się bawić gryzł mnie w ogon i drapał pazurkami, na sam widok jego niewinnej srebrno-szarej mordki moje serce miękło, więc zamiast mocno trzepnąć go łapą tylko odsuwałam się cierpliwie dalej. Minęło tyle czasu, że zdążyłam nauczyć go wszystkiego, co powinien umieć – jedzenia, korzystania z Piasku, polowania na muchy. Jego pazurki dzień po dniu robiły się coraz twardsze. Często – choć niechętnie – zadawały ból, ale i wtedy nie gniewałam się. Zresztą i tak zaraz chował je w różowe poduszeczki i liział czule zranione ucho lub czubek ogona. Ogon. Do dziś nie potrafię pojąć, dlaczego do spania upodobał sobie mój biedny ogon? Układał się zawsze w poprzek, ale tak, aby czubek ogona znajdował się tuż przy jego pyszczku. Zwinęty tak w srebrno-szary kłębek potrafił przespać całą noc. Widział i rozumiał coraz więcej. Całymi dniami biegał, bawił się, a wieczorem padał zmęczony i zasypiał.

– Babuniu! – powiedział kiedyś na wpół śpiąc. – Babuniu, jesteś taka dobra. Jak mama.

– Twoja mama... – odpowiedziałam. – Byłaby z ciebie dumna.

No, bo kto nie byłby dumny z synka o takim czułym, kochającym serduszku? Wieczorami pomagałam mu przywoływać obraz mamy, sklejać go z odległych, mglistych wspomnień, opowiadałam o Świelicy, o świecie poza Świelicą, uczyłam go śnić razem z Dywanem i mówiłam co jest złe, a co jest dobre, I tak mój mały Mruczek doczekał się Transportu do Domu. Domu, który regularnie dostawał jego zdjęcia, Domu, który pytał o jego zdrowie i z oddali głaskał i tęsknił.

Gdybyśmy byli Ludźmi smutek na pewno byłby mniejszy.

Ludzie mają swoje sposoby na tęsknotę. Zapisują małe kawałeczki papieru, noszą Gadające Przedmioty, robią zdjęcia. Ludzie umieją się przenosić z miejsca na miejsce. Nam pozostaje pamięć. Pamięć i zapach, który z upływem czasu blednie. Sny, w których na nowo przeżywamy smutki i radości. Wkrótce Mruczek miał stać się częścią mego snu, małym kawałeczkiem układanki, którą miałam zabrać ze sobą gdziekolwiek dane mi było się udać.

Od kilku dni, co rano, Mruczek był szcztokowany, a futerko na szyi, przygniecione przez kolorową obrózkę zdążyło się już wyprostować. Dom już prawie namacalnie stał przy Mruczku. Dobry i kochający, czekał z miejscem na fotelu, zabawkami. Spragniony kocię obecności przysyłał drobne dowody miłości, którą Duża sprawiedliwie dzieliła między wszystkich. Zbliżał się coraz szybciej, a we mnie mieszały się radość, duma i coraz głębszy smutek.

– Babuniu, nie smuć się! – powiedział Mruczek siadając blisko mnie. – Bo kiedy ty się smucisz, ja nie mogę się cieszyć.

– Wyrosłeś na ślicznego kotka! – zamruczałam skubiąc delikatnie jego błyszczące futerko. – I w dodatku jesteś mądry.

– Uczylem się od ciebie! – zamiauczał cichutko. – Codziennie. Nawet, jak nie patrzyłaś.

Plama okna robiła się coraz ciemniejsza. Nagle zdałam sobie sprawę z tego, jak długą drogę przebyłam. Jak w ciągu lat spędzonych w Świetlicy zmieniały się moje uczucia. Najpierw były lęk i niepewność, potem poznałam co to duma, przyjaźń i godzenie się z losem. Ostatni czas, czas pożegnań obudził we mnie pragnienia, jakich dotąd nie znałam. Chwilami zdarzało mi się tęsknić do dni, gdy wszystko było proste i jasne, gdy ważny był tylko dach nad głową i coś do zjedzenia, gdy można było leżeć w szeleszczącym sianie z dziećmi mocno wtulonymi we mnie, wyprawiać je w świat i oczekiwać kolejnych.

Dziś, przygarnięta i kochana przez Ludzi zaczęłam patrzeć na świat inaczej. Inaczej cieszyć się i smucić, inaczej kochać i inaczej cierpieć. Wtedy pragnęłam tylko pamiętać, zatrzymać ich w sercu. To już nie Wewnętrzny Głos mówił do mnie, tylko coś zupełnie innego. Coś, czego nie byłam w stanie pojąć. Zaglądałam w oczy Dużej rozpaczliwie mocno, a Duża w odpowiedzi drapała mnie za uchem, albo pod bródką i mówiła.

– Dzielną kotka, mądra kotka.

Wiedziałam, że Tarnobrzeska nawet, jeśli nie zrozumiałaby mnie, przynajmniej usiłowałaby mnie zrozumieć. Ale była gdzieś daleko. Nie wiem, dlaczego, zawsze kiedy zaczynałam o niej myśleć, ogarniał mnie coraz większy niepokój.

– Babuniu! – szepnęła Mruczek. – Czy czujesz się chociaż trochę?

– Cieszę się! – powiedziałam. – Przecież i na mnie czeka Dom. Tak ciężko byłoby mi zostawić cię tutaj samego.

Mruczek przysunął się jeszcze bliżej i cichutko pisnął.

– Martwię się Babuniu. Tym, że zostajesz sama.

– Nie zostaję sama – uspokoiłam go. – Przecież jesteś w moim sercu.

Mruczek zamyślił się i posmutniał.

– Przecież w sercu zostają tylko Dzieci?

Obliżałam go serdecznie.

– A kim ty jesteś? Powiedz, przy kim czuwałam w nocy? Do kogo przychodziłeś, gdy cię coś bolało?

Mruczek, zawstydzony, spuścił głowę.

– Do ciebie – szepnęła cichutko. – Tylko do ciebie.

– Więc powinieneś wiedzieć, kim jesteś. Jesteś moim Mruczkiem, moim ostatnim Dzieckiem.

– A ja, czy ja ciebie zapamiętam? – zapytał.

– Zapamiętasz. Pamiętaj też, jak tu przybyłeś. Ktoś przyniósł cię w pudełku po butach i zostawił przy furtce. Zdołałeś wyjść i przeczłgać się pod bramką, a stamtąd wzięła cię Duża.

– I potem byłem już razem z tobą – zamruczał cichutko.

– Tak, potem już zawsze byłeś tylko ze mną. A teraz śpij.

Mruczek ułożył się jak zwykle, ale nagle podniósł głowę i zapytał

– Babuniu, ty się nie gniewasz o ten ogon?

Dom Mruczka powitał wszystkich jak należy – jedzeniem i pieszczotą.

– Więc to ty wychowałaś naszego kotka? – zapytał Dom, głaszcząc mnie delikatnie.

– To twoja zastępcza mamusia, Mruczusiu?

Mruczek radośnie ocierał się o mnie i o Dom, popiskiwał i turlał dzwoniącą kulkę.

– Chcesz to sobie zabrać? zapytała Duża Jasnowłosa i podniosła kulkę z podłogi.

– Weź ją! – szepnęłam. – I nie zgub.

Siedząc na parapecie okna widziałam, jak Duża z Mruczkiem w ramionach idzie przez podwórkę. Nagle Mruczek wyskoczył z jej objęć i pobiegł pod budę Starego Złośnika. Czekoladowe Kocisko zeskoczyło z dachu.

– Odchodzi! – powiedział Mruczek i spojrział prosto w przymrużone ślepią Starego Złośliwca.

Patrzyli na siebie przez chwilę. W końcu Stary Złośnik trzącił głowę Mruczka swoim pokancerowanym łbem i zniknął w budzie. Nad moją głową na belce poruszyła się Magda. Spojrzałam w górę i napotkałam jej oczy, łagodniejsze, niż zwykle.

Długo siedziałam na oknie. Słyszałam jak sprzed furtki odjechał samochód, jak ucichło ujadanie Psów. Nadchodził wieczór. Przespacerowałam się trochę po Świetlicy.

Mój kąć świecił pustkami, a Dywan powoli zapadał w sen. Obeszłam dookoła siennik, tu i ówdzie przedarty pazurkami. Wychodzące z niego źdźbła siana delikatnie łaskotały w nos. Odwiedziłam Piasek.

Pod oknem, koło grzejnika zobaczyłam coś, co z daleka wyglądało jak kawałeczek brązowego papieru. Podeszłam bliżej. W kurzu, zeschnięty jak liść leżał zepsuty motyl z podartym skrzydłem. Musiał tak leżeć już długo, bo kolory wyblakły i stracił blask. Bałam się go dotknąć, żeby nie rozsypał się na drobne kawałeczki, więc przysunęłam postanie bliżej tego miejsca i ułożyłam się w swoim dołku. Zepsuty motyl i zgubiony wąs. To wszystko, co zostało po tych, których tak mocno pokochałam. Zawinęłam dokoła siebie dziwnie swobodny ogon.

– Babuniu! – szepnęło coś w moim sercu. – Kocham cię!

– Kocham cię! – odpowiedziało moje serce.

## *POWRÓT*

Nawet Duża zauważyła, że coś ze mną jest nie tak. Ale był to smutek, nie choroba. W nocy brakowało mi Mruczka, w dzień Tarnobrzeszkiej. Bez wrzasków Fileta było jakoś za cicho. Spałam źle, czujnie. Nie miałam ochoty na jedzenie i coraz częściej przesiadywałam na oknie. Tam przynajmniej coś się działo. Stary Złośnik wylegiwał się w słońcu i nie reagował na zaczepki Psów, które próbowały go zdenerwować. Czasami Duża sprzątała podwórko i podlewała skrzynki z pędami owsa. Czasami ulicą przejeżdżał samochód. Wtedy widziałam, jak po grzbiecie Starego Złośnika przebiega dreszcz. Coś dziwnego stało się z moim czasem – dni były długie, za długie... Nagle zaczęłam żyć tak, jak inni. Nie wiem, czemu nie chciałam zawierać nowych znajomości, choć w Świelticy było dużo sympatycznych kotów. Może po prostu zrobiłam się za stara na jakiegokolwiek zmiany? Może razem z Mruczkiem odeszły resztki mojej energii? A może

tak działało na mnie oczekiwanie na Transport? Czułam się, jakbym była nigdzie – nie należałam już do Świetlicy, a jeszcze nie byłam w swoim Domu.

Duża zagadywała do mnie. Raz nawet zmierzyła mi temperaturę i choć nie znalazła niczego, co byłoby nie w porządku, wpychała mi do pyszczka kolorowe kulki. Chowałam je pod policzkiem, a potem, trochę rozmiękle, wypluwałam w kąciku.

Mój Dom był daleko i nie mógł przyjechać po mnie tak, jak przyjeżdżały te Mruczka, Fileta czy Rudzielca. Czekałam i usiłowałam za wszelką cenę nie zapomnieć. Wąchałam siennik, którego kolory nieco się zmieniły. Patrzyłam, jak zepsuty motyl pokrywa się kurzem, a potem układałam się w swoim dołku i drzemałam. Sypiałam źle. Brakowało mi ruchu, rozmów, ciepła innych futerek obok. Kiedy obudziłam się pewnej nocy pomyślałam, że mój kąć, dawniej taki pełen życia, musi wyglądać teraz jak dziura w Dywanie.

– Ty tęsknisz, Babuniu! – powiedziała któregoś dnia Duża i przestała wpychać we mnie kolorowe kulki.

Mój Dom przysłał mi kocyk – nieduży, ciepły, pachnący trochę innymi kotami, a trochę czymś, co kręciło w nosie tak, że zaczynałam kichać. Pewnej nocy – może dlatego, że krople deszczu usypiająco bębniły o szyby – a może dlatego, że byłam wyjątkowo zmęczona zasnęłam, mocno jak dawniej. Nawet zaczęłam śnić. Najpierw przysnił mi się Smutny kot, potem Mruczek, a na końcu Filet. We śnie słyszałam cichy głos Tarnobrzeskiej, szelest siana i czułam ciepły oddech tuż przy moim pyszczku. Sen był tak prawdziwy, że czułam bolesne skurcze serca a jednocześnie pragnęłam, żeby trwał dalej. Ciepły oddech przy moim pyszczku zamienił się w cichutkie mruczenie. Otworzyłam oczy i zobaczyłam czarno-biały pyszczek Tarnobrzeskiej.

– Wróciłam! – wyszeptła. – Jestem chora, więc mnie odesłali. Ale jestem bardzo, bardzo szczęśliwa.

Odebrało mi mowę. Serce tłukło mi się w piersi tak mocno, że nie mogłam złapać tchu.

– Więc to nie był dobry Dom? – zapytałam.

Tarnobrzeska przysunęła się bliżej.

– Na pewno chciał być taki, ale się nie udało. Wszystko przez Piasek....

Opuściła głowę. Wyczułam, że krążyło wokół niej TO, ale nie było dla mnie groźne – tak przynajmniej mówił Wewnętrzny Głos, więc oblizałam jej pyszczek i uszy, a ona odpowiedziała podobną pieszczotą.

– Czasami... – powiedziała cichutko – ...nie zdążyłam dobiec do Piasku i wtedy Duża się gniewała...

Przeszedł mnie dreszcz. Przed oczyma stanął mi piękny, malowany pyszczek Ręcznika.

– Biła cię? – zapytałam ze zgrozą.

– Nie, skądże. Tylko chodziła ze ściereczką i narzekała, że ma ze mną same kłopoty. Pocieszałam się, że to nie jest moja Duża, bo miałam zamieszkać u jej matki. Myślałam sobie wtedy, że jej matka mieszka w miłym, małym domku, gdzie jest piec, na którym można się wylegiwać, że nie chodzi po domu ze ściereczką i jeśli narzeka, to tylko na ból w kościach.

Westchnęła, wstała i powoli, jakby coś ją w środku bardzo bolało poszła w stronę Piasku.

– Tak mi przykro, tak bardzo mi przykro... – szepnęłam.

Ale Tarnobrzeska przytuliła się do mnie i zamruczała

– Jedyne, czego się bałam wracając tutaj, to że nie byłoby już ciebie. Teraz jest tak, jakbym wróciła do domu.

Nie miałam słów, żeby powiedzieć jej, co czuję, a ona nie miała sił, aby rozmawiać całą noc. Leżąc obok siebie mruzczałyśmy cicho, aż w końcu razem z całym Dywanem uniosłyśmy się w górę. W dole, pod nami spały domy, ale mruczenie Dywanu budziło niektórych ludzi – brali wtedy na ręce swoje koty, zdziwione nagłym wyrwaniem ze snu i otworzywszy okna patrzyli w niebo. A ci, którzy nie mieli obok siebie nikogo zaczęli nagle pragnąć czyjejkolwiek obecności i przyciskali do serca ręce. W powietrzu, gęstym od marzeń Dywan powoli krążył nad ziemią.

## **KRYŚIA TARNOBRZESKA-WIELICKA**

O Tarnobrzeską martwiłyśmy się obie – ja i Duża. Ale w jakiś dziwny i niepojęty sposób wraz z jej powrotem wróciło do mnie życie. Wiedziałam instynktownie, że coś dobiega końca, ale ta świadomość dodawała mi sił. Rozkładały się równo – na mnie i moją przyjaciółkę. Mój Wewnętrzny Głos coraz szybciej odliczał upływający bezlitośnie nasz wspólny czas. Pewnie dlatego stałyśmy się sobie jeszcze bliższe. Wspominałyśmy dawne czasy leżąc na Słonecznej Wyspie i razem śmiałyśmy się ze Starego Złośnika wychodzącego ze swojej budy. Przypominałyśmy sobie nasze Dzieci, narodziny i rozstania.

– Dlaczego masz takie dziwne imię? – zapytałam któregoś dnia, bo nigdy przedtem nie było czasu się nad tym zastanawiać.

– Przywieziono mnie z daleka, z miejsca, które nazywało się Tarnobrzeg. Ale nie pamiętam, jak straciłam łapkę. Musiałam być wtedy bardzo mała.

– Ale zawsze sobie świetnie radziłaś – zamruczałam.

Uśmiechnęła się. Ale mruzczała jakoś tak płytko, jakby coś w środku jej pękło.

– Musiałam – odpowiedziała. – Nie miałam wyboru.

Wokół nas krążyło TO. Ale wcale nie było niczym przerażającym, było tak samo łagodne i nieuchronne jak narodziny. Było czymś, co w końcu musiało nadejść i od czego nie było ucieczki.

Wiecie, że TO bywało różne. Czatowało na poboczach, skradało się nocą przez światlicę.

Zostawiało dziwacznie płaskie lub skręcone ciała, zastygłe, przerażone oczy, otwarte pyszczki próbujące złapać ostatni łyk powietrza. Było gwałtowne, niesprawiedliwe i bolesne. Zamiast gody – rodziło bunt.

Płomyczek życia coraz słabiej tlił się w mojej przyjaciółce, ale podsycalam go mruzeniem i ciepłem własnego ciała.

– Kiciuniu! – powiedziała kiedyś Duża. – Przestań chorować, bo czeka na ciebie Dom.

Usiadła przy nas i zaczęła opowiadać o Domu, który nie był aż tak daleko i o tym, że wie o kłopotach z Piaskiem, że kocha i że czeka. A potem pogłaskała moją przyjaciółkę po łebku i powiedziała

– Krysia Tarnobrzeska – Wielicka.

Bo Duża czasami nazywała ją Krysią. Tarnobrzeska miło zamruczała, ale gdy Duża udała się po codzienną porcję kolorowych kulek spojrzła na mnie i szepnęła

– Wiesz, Babuniu... Jeśli ten Dom naprawdę jest taki dobry, to chciałabym, żeby... wiesz, kiedy ja...

– Nie mów tak! – prosiłam, choć wiedziałam, że się nie myli. – Dom czeka na ciebie. Oparła o mnie głowę i przymknęła oczy. Kiedy Duża wróciła z kolorowymi kulkami moja przyjaciółka zapadała w sen.

– Nie budź jej, proszę! Nie budź jej! – patrzyłam błagalnie w oczy Dużej.

Musiło być coś w moim spojrzeniu, bo tylko pogłaskała delikatnie kotkę, uśmiechnęła się smutno i odeszła. Czuwałam. Kiedy Tarnobrzeska się budziła, oblizywałam jej pyszczek i opowiadałam, jak bardzo mi jej brakowało.

– Cały czas byliście wszyscy przy mnie – szepnęła. – Ty, Mruczek, Filet i moja córeczka.

– Pewnie jest już duża – powiedziałam. – I ma najlepszy Dom na świecie.

Tarnobrzeska uśmiechnęła się.

– Pomyśleć tylko, Babuniu, że i mnie ktoś pokochał...

Otuliłam ją swoim ciepłem. Przy każdym słabszym oddechu moje serce zamierało.

– Krysia Tarnobrzeska – Wielicka – zamruczała sennie moja przyjaciółka. – W drodze do Domu...

W końcu sen zmorzył i mnie. Za oknem szeleściły drobne łapki myszy, słyszałam pisk przelatującego nietoperza i smutne nawoływanie jakiegoś nocnego ptaka. Kiedy

obudziłam się rankiem moja przyjaciółka była już chłodna. Tylko tam, gdzie tuliło się do niej moje ciało jej futerko było jeszcze ciepłe. To musiało nadejść, gdy spałam. Łagodnie, po cichu. Leżała zwinięta w kłębek, a na pyszczku miała delikatny uśmiech. Nie poruszyłam się. Leżałam starając się zapamiętać kształt każdej łatki, każdy sterczący wąs. Zapisywałam w pamięci jej zapach, przypominałam sobie jej głos. Kiedy moja przyjaciółka była już tylko chłodnym kawałkiem futerka, lekkim jak ptasie piórko, jak skrzydło zepsutego motyla, uniosłam głowę. Zapamiętałam wszystko od pierwszego dnia, gdy powierzyła mojej opiece swoje Dziecko aż do tej najdłuższej, pełnej miłości nocy, kiedy opuściła mnie po raz drugi tym razem już bez nadziei na powrót.

Tego ranka Duża usiadła na sienniku obok nas i rozplakała się jak dziecko. Wskoczyłam jej na ramiona, trącałam raz po raz głową i zlizywałam to słone i mokre, które płynęło po jej policzkach i wsiąkało w moje futerko.

## POŻEGNANIE

Przebyłam bardzo długą drogę. Pewnie żaden kot ze świetlicy nie pojechał aż tak daleko. Niemożliwe okazało się możliwe i mam najlepszy Dom na świecie. Ja, stara kotka bez zębów, mogę wylegiwać się na fotelu albo wędrować po Domu za moją Panią. Inne koty nie mają nic przeciwko mnie i wierzę, że wkrótce zostaniemy przyjaciółmi.

Byłabym zapomniała – w tym domu są też Psy. Myślę, że dzięki Białej Kotce nauczyłam się czegoś, czego przedtem nie mogłam zrozumieć – tak naprawdę wcale nie jesteśmy aż tak różni. Choćby dlatego, że tak samo pragniemy domu i miłości. Gdyby nasze sprawy pozostawiono nam samym to pewnie żylibyśmy w jakiejś takiej zgodzie.

Moja Pani często zastanawia się, dlaczego tak bardzo lubię spać? Nie jestem ani chora, ani smutna. Po prostu odsypiam schroniskowe noce, pełne niepokoju i – śnie. Przywołuję dawny czas razem z jego smutkami i radościami, na nowo przeżywam

w nim chwile szczęścia i rozpacz. Spytacie czemu śnię o tym, co było? Bo nauczyłam się, że w rozpacz też może być iskierka nadziei, że nigdy nie należy tracić sił, że dopóki bije serce – jest jeszcze czas. Czas, w którym wiele może się wydarzyć.

Czasem budzę się w środku nocy. Słyszę za oknem monotony szum tak bardzo podobny do sennego mruczenia Dywanu. To szumi morze. Jeszcze go nie widziałam, ale moja Pani mówi, że to taka wielka woda, która faluje i mruczy. Dlatego myślę, że morze musi być szczęśliwe. Leżę więc z otwartymi oczami i słuchając tego szumu uciekam myślami do Świelicy, gdzie Czarodziejski Dywan powoli unosi się w górę.

Albo wskakuję na parapet okna i patrzę w wysokie, rozgwieżdżone niebo. Ogarniają mnie ciepłe myśli tych, których pokochałam i którzy odpowiedzieli mi Miłością. Szukam w górze dwóch małych, żółtych gwiazdek, które świecą inaczej niż inne – wiem, że to oczy mojej Drogiej Przyjaciółki patrzą na mnie ciepło z Tęczowego Mostu.

A kiedy TO nadejdzie – bo wiem, że w końcu nadejść musi – to poddam się mu szczęśliwa, że moje życie było komuś potrzebne, że dane było mi wiedzieć i czuć więcej, choć czasami to bardzo bolało, i że chociaż nie zdołałam obdzielić wszystkich swoją miłością i ciepłem, kilkoro ogrzało się przy moim sercu. Nie boję się. Wiem, że za Tęczowym Mostem czekają na mnie ci, których pokochałam, a którzy odeszli za wcześnie, I wiem, że pewnego dnia ja też wyjdę komuś na spotkanie. Ale do tej chwili upłynie jeszcze trochę czasu.

Dziękuję Wam, którzy wysłuchaliście mojej opowieści. Bo jeśli dzięki niej ktoś z Was, Ludzi zrozumiał, że świat tak naprawdę nie dzieli się na ludzi i zwierzęta, że każdy z nas jest częścią misternie utkanego Dywanu – dzień, który wstanie będzie lepszy od poprzedniego.

Jeśli ktoś płakał – niech się nie wstydzi swoich łez. Bo co warta byłaby radość, gdyby nie uwalniała nas od smutku?

**BABUNIA**

Wieliczka, 1.05.2006

## SPIS TREŚCI

TO .....	5
LATAJĄCY DYWAN .....	7
ILE KOSZTUJE DOM? .....	8
WIRTUALNI .....	11
SĄ I JAŚNIEJSZE DNI .....	13
RĘCZNIK .....	15
STARA FUTRZANA CZAPKA .....	18
ZAGINIONE IMIĘ .....	21
INKA .....	24
MOŻESZ NIE WEJŚĆ NA DRZEWO .....	27
DZIECI, DZIECI, DZIECI .....	30
ZAMKNIĘTY POKÓJ .....	32
DOKTOR BABUNIA .....	35
NAJLEPSZY DOM NA ŚWIECIE .....	38
NIEDZIELA .....	40

DLACZEGO DOM SIĘ SPÓŹNIŁ? .....	42
MIŁOŚĆ .....	44
DZIEŃ SPALONEGO JEŻA .....	48
WIOSENNY REMONT SERC .....	51
DOM POD KRZAKIEM BZU .....	54
TRZY NA TRZY .....	56
NIESPODZIEWANA ZMIANA POGODY .....	59
PIŁECZKA .....	62
KOLOROWE OBRÓŻKI .....	66
SMUTNY KOT .....	69
TAJEMNICZE SIENNIKI .....	73
DOM PRZYJECHAŁ PO RUDEGO .....	76
WEŹ POD DACH BIDĘ Z NĘDŻĄ .....	78
PAN FILET .....	82
WAKACJE .....	84
MUSI BOLEĆ .....	87
PUSTKA .....	90
KOTY I PSY .....	92
DUŻA ŚPIEWA .....	95
BAJKA .....	98

PAMIĄTKI .....	102
POWRÓT .....	106
KRYŚIA TARNOBRZESKA-WIELICKA .....	109
POŻEGNANIE .....	111

*Historia Babuni ze schroniska w Mielcu  
szczęśliwie dobiegła końca.*

*Ale pozostali inni  
których los możesz odmienić.*

*Odwiedź stronę [www.miau.pl](http://www.miau.pl)*

**BABUNIA** – po przyjeździe do Domu





**BABUNIA** – przed „odejściem”





## **BABUNIA** – wiersz *Caty*

Śmierć jest kresem wędrówki każdej  
i każdego zawoła do siebie...  
Noc zapala już złote gwiazdy  
tak jak kocie oczy na niebie...

Gdyby teraz ktoś popatrzył z góry  
to zobaczy domy jak pudełka  
a ku niebu przez deszczowe chmury  
kolorowe migoczą światełka.

Te w ogrodach, i te pod drzewami,  
w mrocznych parkach, w oknach szarych domów -  
rozgrzewają serca płomykami...  
Widać drogę pokazują komuś.

Stara kotka odchodzi po Moście  
otulona czule w ludzką miłość -  
była przecież tu najmilszym gościem,  
smutno, pusto bez Niej się zrobiło...

Zostawiła po sobie tak wiele,  
nauczyła najprostszej mądrości -  
że nie szuka się Boga w kościele,  
tylko w sercu pełnym miłości.

Że nieważne, nad kim się pochylisz,

komu ulżysz w rozpacz, w cierpieniu...  
Sam Franciszek w takiej właśnie chwili  
błogosławi Twojemu istnieniu...

Bo nie trzeba po rzeczy dalekie  
sięgać, by mieć swoje miejsce w Raju :  
opowiedzą, jakim byłeś człowiekiem  
wszyscy ci, co na ciebie czekają.

Więc łzy wytrzyj, wystarczy, że drzewo  
drży na wietrze i na deszczu moknie...  
Sam nie jesteś - popatrz w prawo, w lewo -  
na światelko w nieznanym oknie.

W deszczu, w chłodzie, wśród śnieżnej zawiei  
masz przesłanie od nieznanych ci ludzi -  
które błyszczą promykiem nadziei,  
że się jutro bogatszy obudzisz...

Że to dziwne - ale dzięki kotce starej  
dzień następny będzie lepszy i inny,  
odzyskałeś nagle w ludzi wiarę  
i jak dziecko jesteś znów niewinny.

Płomyk drogę rozświetli w ciemności  
i dni będą dla Ciebie łaskawsze -  
stara kotka z mieleckiego schroniska  
pozostanie w Twoim sercu na zawsze...

## To co napisała o **BABUNI** jej opiekunka Anka 21 marca 2007r

<http://forum.miau.pl/viewtopic.php?t=57830&postdays=0&postorder=asc&start=0>

Babuniu, dzisiaj po południu pochowałam Twoje umęczone chorobą ciało pod rozwidlonym drzewem w lesie. Pożegnałam się tam z Tobą i jest mi trochę lżej, ale wierzę głęboko, że to nie było "żegnaj", a tylko "do zobaczenia", wierzę, że kiedyś, gdy przyjdzie ten czas, wyjdiesz mi na spotkanie i znowu będziemy razem. Nie tylko we dwie, ale ze wszystkimi zwierzętami i ludźmi, których jednoczyłaś. Będziemy spacerować po rajskich łąkach gdzie nie będzie już cierpienia i śmierci.

Byłaś u mnie tak krótko, tylko rok. A może "aż" rok? Może dla ciebie to było dużo? Śliczna koteczka o poważnym, pełnym spokoju pyszczku. Nie szalałaś jak inne koty, nie ganiałaś w dzikich galopadach, byłaś w jakiś sposób inna, niepowtarzalna, jedyna.

Wciąż mi się wydaje, że zaraz wejdiesz mi na kolana i poczuję pod palcami Twój aksamitnie miękki łepok. Ułożysz się wygodnie jak zwykle i będziesz mi mrużącymi oczkami opowiadać długie historie. A potem wejdiesz na najwyższą półkę drapaka i będziesz obserwowała co się dzieje. Gdy idę przygotowywać kocio-psie jedzenie, wydaje mi się, że widzę Cię jak korzystając z przywileju wchodzisz jako jedyna ze mną do kuchni, by spokojnie i grzecznie czekać, aż dostaniesz swoją porcję. I niech potem reszta w dzikich galopadach biegnie do miseczek.

Chorowałaś krótko. Tylko tydzień. Twoja choroba wyzwoliła z ludzi tyle dobra, prawdziwy łańcuch ludzkich serc. Do końca miałam nadzieję. Niestety - odeszłaś. Gdy umierałaś, wszystkie zwierzątka ucichły, była taka cisza, jakby nikogo nie było. A gdy zaraz potem chciałam tę smutną wiadomość przekazać na forum, forum zawiesiło się.

Nie mogłam wysłać wiadomości, nie mogłam zmienić tematu. Znak? Babuniu, odpoczywaj. Już Cię nic nie boli. Wierzę, że jesteś szczęśliwa za Tęczowym Mostem. W moim sercu zostaniesz na zawsze, bo przyjaźń nigdy nie ginie. Jest wieczna tak, jak każde dobro.

Chcę tu też podziękować wszystkim.  
Coty za piękną historię o Babuni.  
Tym, dzięki którym Babunia mogła do mnie przyjechać.  
Wszystkim, którzy w czasie choroby Babuni spieszyli z różnorodną pomocą  
Za wszystkie wpisy pamięci Babuni, telefony, SMS-y  
**DZIĘKUJĘ**

**Do zobaczenia, Babuniu**





ISBN: 83-7490-023-7